Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 1. Lutego 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 5.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Wystawa Dzieł Sztuki.

Trzy miesiące już minęły od owej uroczystej chwili w Krakowie, kiedy Polska cała składała hołdy mężowi zasług niepospolitych a w głowach rozpalonych entuzjazmem powstawały liczne projekta prac ogólnych, które chwilę zapału przedłużyć miały na dłuższe czasy. Wspaniałomyślne ofiary sypały się jak nigdy. W darze Siemiradzkiego doszły do kulminacyjnego punktu. Muzeum sztuki polskiej, było w jednej chwili założonem, dano mu podstawy darami artystów polskich i jest pewność, że rozwinie się ono znakomicie.

Kiedy artyści zebrani w wesołem kółku mówili o sprawach sztukę polską obchodzących — powstała myśl urządzenia perjodycznych wystaw, ogólno polskich, na których ujrzeć by można to wszystko, co się u nas w tej dziedzinie znakomitszego pojawia. Myśl ta odrazu znalazła gorących zwolenników, mówiono o najrozmaitszych projektach, Siemiradzki zaproponował Lwów, wysunięty daleko na wschód, na kresach prawie leżący, jako miejsce pierwszej takiej wystawy i gdy następnie artysta ten był we Lwowie, zawiązał się komitet, który miał się całą sprawą zająć, zawrzeć stosunki i pomyśleć o praktycznem przeprowadzeniu. Jednak chwile pobytu Siemiradzkiego we Lwowie były tak krótkie, tak był on rozrywanym na wszystkie strony, że tylko dorywczo, pobieżnie można było coś postanowić, i komitet na prędce zawiązany, prędko także przestał myśleć o swojem zadaniu i dotychczas nie dawał znaku życia.

Sprawa ta jest dobrze znaną naszym czytelnikom.

Otóż obecnie zaczęto się znowu krzątać i jest nadzieja, że niedługo przyjdzie do jakiegoś rezultatu. Kilku członków komitetu, w onczas wybranego, przygotowuje projekt szczegółowy, który nastepnie wniesiony zostanie na walnem posiedzeniu i poddany dyskusji.

Przedewszystkiem chodzić będzie o oznaczenie terminu pierwszej takiej wystawy. Ogólny głos na podstawie fałszywej pogłoski, chce ją połączyć z wystawą rolniczo-przemysłową, które jakoby miały się perjodycznie co lat pięć powtarzać. Według naszego zdania, złączenie takie nie jest wcale uzasadnionem. Powtarzaliśmy to już niejednokrotnie. Jakąż bowiem może mieć łączność wystawa sztuki, ogólno polska, z czysto prawie prowincjonalną wystawą rolniczą? Ani jeden cel, ani jedne drogi nie łączą ich z sobą, ani nawet zakres działania, bo wystawa sztuki obejmuje cały świat artystyczny polski. Powiadają niektórzy, ze zjazd byłby większy, a więc dochód znaczniejszy. Na to odpowiedzieć można, że natomiast zjazd będzie podwójny, gdy wystawy będą rozdzielone, a zresztą niema najmniejszej obawy, żeby na pierwszą wystawę polskich dzieł sztuki, nie zjechano się ze wszystkich stron ziemi naszej i to w licznych zastępach. Sztuka tak się już u nas rozwinęła, do takiego stopnia weszła w życie narodu, tak jej wszyscy hołdują, że nie ma człowieka, któregoby jej sprawy nie interesowały a jej tryumfy nie entuzjazmowały. Wielkie imiona malarzy, którzy w historji sztuki pozostaną, wzbudziły to zamiłowanie i rozkrzewiły ten zapał. Podobni są oni do owej plejady poetów, co w literaturze naszej dali odrodzenie i postawili ją na wysokości innych narodów. To też każdy nowy talent, każde dzieło znanego mistrza budzi u nas wielkie zajęcie, większe niż wszystko inne, co się pojawia czy to w nauce czy w literaturze. Jest nawet pewna przesadna jednostronność w tym kierunku. Nie ma więc żadnej obawy, żeby wystawa oprzeć się miała jedynie na lwowskiej publiczności, owszem nawet przekonani jesteśmy jak najmocniej, że zjazd będzie tak licznym, jakiego Lwów jeszcze nie widział. Zresztą połączenie z wystawą rolniczą jest po prostu niemożliwe z tego powodu, że zupełnie niewiadomo, kiedy ona nastąpi. Niedawno, bo zaledwie trzy lata minęło, jak się odbyła, a eksperymenta zbyt częstego jej powtarzania są ryzykowne. Co lat dziesięć — dobrze, co lat pięć — za często. Na otwarcie więc pierwszej wystawy, któraby teraz przyjść miała, czekać by trzeba było lat kilka jeszcze, żeby zapewnić powodzenie.

Nie widzimy więc ani racjonalnego powodu, ani pożytku, ani nawet możliwości połączenia obu wystaw i dlatego myśl ta będzie pominiętą.

Po załatwieniu tej sprawy chodziłoby o wyznaczenie terminu dla pierwszej wystawy. Ponieważ ona ma być pierwszą, więc sądzimy że nie ma najmniejszego powodu do zwlekania. Przeprowadzenie całej sprawy wymagałoby dość znacznego czasu, lecz wystarczyłby zupełnie na wszystkie prace przygotowawcze rok jeden. W lecie roku 1881 wystawa mogłaby być otwartą. Rok nam wystarczy na przeprowadzenie układów z różnemi instytucjami, na urządzenie placu wystawy i w ogóle na wszystkie przygotowania. Trzebaby tylko było szybko się wziąć do dzieła.

Ważnem jest bardzo uzyskanie poparcia od sejmu, który zapewne w pierwszej połowie bieżącego roku się zgromadzi. Już przy tworzeniu projektu podniesiono myśl, żeby oddać sprawę pod opiekę najwyższej reprezentacji kraju. Chodzi o to, żeby sejm przyznał nagrody, żeby artyści brali je od kraju, a nie od prywatnych instytucji. Nie ma żadnej wątpliwości, iż sejm chętnie i bez żadnych przeszkód wyznaczy na to odpowiednią sumę. Inne koszta opłaci sama wystawa, tak jak je opłaciła wystawa rolniczo-przemysłowa w roku 1877.

Jedną z najważniejszych spraw do załatwienia, będzie znalezienie odpowiedniego miejsca do urządzenia takiej wystawy. Najkorzystniejszem byłoby wystawienie prowizorycznego zabudowania, z uwzględnieniem wszelkich wymagań artystycznych co do dobrego światła. Lecz natrafiłoby to na dość znaczne trudności. Koszta jeszcze nie byłyby w pierwszym rzędzie, bo budynek miałby charakter prowizoryczny, zbudowanyby był z drzewa i niezbyt wiele kosztował. Lecz byłaby trudność z jego asekurowaniem, ze względu na kolosalną sumę, którą reprezentować będą obrazy, i na prowizorycz-

ność zabudowania. Może więc odpowiedniejszem by było dla pierwszej próby urządzić wystawę w którymkolwiek opróżnionym gmachu publicznym. Nie byłoby takiej wygody, lecz pewność niezrównanie większa. Jeżeli wystawa przypadłaby na letnie miesiące, to gmach politechniki mógłby być z korzyścią na to obrócony. Gdy w ubiegłym roku urządzono wystawę sztuki, odzywały się głosy niechętne, że gmach ten jest zbyt oddalonym od miasta. Odpowiedź na to dała sama publiczność, która liczniej niż zwykle zwiedzała w zeszłym roku wystawę w auli szkoły politechnicznej.

Gmach ten przedstawia dla wystawy dzieł sztuki bardzo wiele stron korzystnych. Najprzód wysoka, dwupiątrowa aula, mogłaby być wybornie zużytą na większe płótna i na najznakomitsze obrazy. Byłoby to coś w rodzaju *salon d'honneur* na ostatniej wystawie wiedeńskiej. Ogromnych rozmiarów sale rysunkowe na wszystkich piątrach o doskonałem oświetleniu, służyłyby do wystawienia innych obrazów. Westybule i przepyszne schody o świetle z góry padającem mogłyby pomieścić dzieła dłuta, a gdyby w salach rysunkowych mało miejsca było, co zresztą jest nieprawdopodobnem, to ściany kurytarzów, przeciwległe wysokim oknom, wychodzącym na podwórze, pomieściłyby resztę. Dla urządzenia kancelarji i składów, znalazłaby się odpowiednia ilość lokalności.

Projekt ten ma przedewszystkiem zaletę taniości.

Tych kilka uwag o wystawie rzuciliśmy tutaj — zastrzegając sobie jeszcze niejednokrotnie głos w tej sprawie. Niedługo podamy uwagi artystów co do bliższych szczegółów jej praktycznego przeprowadzenia.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Pani Alojza nie czekała końca tej perory swojego małżonka, ale znikła z pokoju — Stanisław zaś siedział jak na szpilkach, tym razem już nie fizycznie, ale moralnie. P. Smiechowski, czy spostrzegł to, czy wygadał się już do woli, zmienił naraz ton swój sarkastyczny na zwykły pogadankowy.

—Ale, ale! Prosiłem cię na śniadanie, a tu, jak widzisz, nie zanosi się na to, w obec nadzwyczajnych katastrof, jakie się wydarzyły. Nie ma innej rady, tylko, jak zwykle w takich razach, chodźmy do hotelu.

Na ulicy, Wołodeckl zrobił uwagę, że pani Aoljza musi mieć »świętą cierpliwość,« jeżeli zawsze tak spokojnie znosi uszczypliwe wycieczkl tego rodzaju ze strony męża.

— Świętą cierpliwość! To ja mam jakąś, nie wiem czy świętą, ale na każdy sposób nadzwyczajną cierpliwość! Czy ty uwierzysz, że to, co widziałeś u mnie, jest tylko małą próbką tego co ja widzę codziennie rano, w południe i wieczór, od lat kilkunastu. Próbowałem już wszystkich sposobów. Przedstawiałem rzecz spokojnie, prosiłem, błagałem — nie pomogło. Usiłowałem sam zaprowadzić jaki taki ład w domu, wziąłem się ostro do sług, i przez jakiś czas wszystko szło inaczej. Ale cóż, nie mogłem przecież sam pilnować kuchni i pralni, skończyło się na tem, że pod mojem naczelnem dowództwem, stara klucznica prowadziła rządy. P. dobrodz zaczęła ronić łzy w ukryciu, a potem jawnie, i wyrzucać mi coraz głośniej, że nie czuje się »panią w swoim domu,« że kiedy mi Pyszczkiewiczowa we wszystkiem tak dobrze umie dogodzić, to ona zabierze się i pojedzie do rodziców itd. itd. W istocie zdarzyło się nieraz, że Pyszczkiewiczowa w niektórych kwestjach ściśle kobiecego gospodarstwa, w mojej nieobecności powoływała się na moją powagę i niedwuznacznie dawała Alojzie do zrozumienia, że jest niepotrzebnym gratem w domu. Nie było rady — abdykowałem, jak Ludwik Filip, a przed abdykacją wyprawiłem na wieś ministerjum, tj. Pyszczkiewiczowę. Nastały na nowo rządy liberalne, których okaz właśnie widziałeś. Wyczerpawszy już poprzednio parę innych metod, spróbowałem gniewać się, grzmieć jak Jowisz. Na nieszczęście, nie mam kwalifikacji na systematycznego tyrana, wykrzyczawszy się i wywoławszy dokoła płacz i zgrzytanie zębów, mięknę i tem samem tracę wątpliwe korzyści, które osiągnąłem. Tak więc, została mi tylko zwykła broń bezsilnych, szyderstwo. Przypomina mi to — wszak jako pedagog, musisz wiedzieć, że o kilkaset mil ztąd znajduje się miasto, które się nazywa Lwów?

— Tak, Lwów, nad Pełtwią, siedziba trzech arcybiskupów i trzech wielkich fabryk spirytusu....

— Mniejsza o to; najsławniejszym jest Lwów z ulic żydowskich, które pod względem niechlujstwa przewyższają o wiele wszystko, co można widzieć na Wschodzie. Otóż mieszkańcy tamtejsi są zupełnie w mojem położeniu. Prosili, próbowali sami gospodarować, gniewali się, wszystko nie pomogło. Z rozpaczy więc pozakładali pisma humorystyczne i śmieją się z biedy, na którą nie ma innej rady, jak chyba dobry pożar i radykalna zaraza morowa. Na nieszczęście, mają doskonałą straż ogniową i dzielnych lekarzy; tak więc, obiedwie te bramy ratunku są dla nich zamknięte, i zostaje im tylko pociecha w humorystyce.

— Nie wielka, przyznam ci się; widziałem w bibljotece tutejszej parę płodów tej humorystyki i omal się nie rozpłakałem na myśl, że mam bliźnich tak dalece pozbawionych i logiki i humoru. Już miałem nawet łzę w jednem oku, ale na szczęście, zasnąłem. Ale wracajmy do rzeczy: powiedz mi, po co chciałeś koniecznie robić mię świadkiem tych... tych stosunków...

— Bo chciałem sobie najpierw ulżyć, a potem, dać ci zbawienną naukę. Nie uwierzysz, jak dalece drobne przykrości tego rodzaju złożyć się mogą na jedno wielkie prawie-nieszczęście, zwłaszcza przy mojem usposobieniu.

— To prawda, w szkołach nazywano cię zawsze panem Porządnickim; nie mogłeś znieść pyłku na stole albo na surducie.

— Widzisz, co teraz znosić muszę. Uważaj że między innemi nie mogę mieć przy sobie dziecka, które niezmiernie kocham. Chłopcem, gdy podrośnie, zajmę się sam, ale dziewczyna, choć da Bóg nie będzie bez grosza, musi przywyknąć do kobiecego ładu i składu, bo inaczej będzie nieszczęśliwą, jak Alojza. A ta, wierz mi, że jest nieszczęśliwą. Czuje ona dobrze, że wszystko idzie nie tak, jak powinno — cóż, kiedy przy najlepszych chęciach nie potrafi zrobić tak, żeby było inaczej. Nieraz przeprasza mię, obiecuje, że wszystko w domu będzie jak w pudełku, zaczyna się krzątać, uwijać i za pół godziny, zaczyna szukać jakiegoś klucza, albo jakiejś szpilki, której do wieczora znaleźć nie może, i wszystkie piękne przedsięwzięcia przepadły. Wielkie to jeszcze dla mnie szczęście, że nie jestem poetą, ani cukiernikiem.

— A to znowu dla czego?

— Bo widzisz, właśnie w tym Lwowie, o którym mówiliśmy, wyrzucał pewien znakomity poeta drugiemu jako grzech śmiertelny to, że się ożenił. Dyskutowano wszędzie o tej kwestji, aż rozstrzygnął ją pewien cukiernik, także niepospolita znakomitość w swoim rodzaju — w ten sposób, że »poeta, ani cukiernik, nigdy się żenić nie powinien.« Interpelowano go o motywa, i odpowiedział, że kobiety są na to, ażeby czytały wiersze i jadły cukierki, ale że są wielką przeszkodą w ich tworzeniu, bo, jak twierdził »nasze panie są nadzwyczaj miłe, nadzwyczaj kochane, nadzwyczaj dobre, ale nadzwyczaj — nieporządne.« To samo jota w jotę da się zastosować do Milicjanek; zapewniam cię bowiem, że trzy czwarte części gospodarstw w naszym kraju chorują na tę samą wadę organiczną, jaką widziałeś u mnie. Dla tego też zaprowadziłem cię do siebie, jak mówię, po części ażeby sobie ulżyć, a po części, ażeby cię ostrzedz.

— Jeżeli ta przestroga odnosić się ma do panny Natalji, to zupełnie nię jest na swojem miejscu. Nie widziałem nigdy domu milej i schludniej utrzymanego, jak u pp. Kluszczyńskich.

— A dom rodziców Alojzy w Stawiczanach, czy nie był wzorem w tym samym kierunku? Musisz wiedzieć, że każdy dom, w którym jest panna na wydaniu, prezentuje się gościom bardzo przyzwoicie. Kobiety cieszą się codzień, a nawet myją się, póki nie wyjdą za mąż. Później zaś, dzielą się na dwie kategorje: jedną prawie zupełnie nie umytą, a drugą jeszcze gorszą, bo czasem umytą, ale nie zawsze dla męża...

— Przestańże już raz, bo bluźnisz niegodziwie! — przerwał Stanisław. Musisz być głodny, i to ci żółć porusza.

— Na szczęście, jesteśmy już niedaleko hotelu. Ale pst! patrz-no!

— Co takiego?

— Widzisz tę karetę!

— Widzę, ale nie pojmuję, co w niej może być szczególnej uwagi godnego.

— Ucz się heraldji, to umiejętność bardzo pożyteczna dla młodych ludzi, puszczających się na bystrą wodę polityki. Widzisz na tej karecie herb? To jest Palemon, herb Skirgiełłów. Uważasz, że na koźle obok woźnicy siedział nie lokaj, ale strzelec? To znaczy, że w karecie nie siedzi hrabina, ale sam hrabia. Otóż ztąd ważna konkluzja polityczna: hrabia Albin Skirgiełło przybył do Wilkowa, i posłał strzelca z biletem do kogoś, mieszkającego w tym hotelu. Notuj sobie te wszystkie szczegóły, ażebyś z nich mógł zdać sprawę sekretarzowi. Czekaj, dowiemy się jeszcze może, do kogo miał interes hrabia Albin.

W tej chwili pojawił się napowrót strzelec, a w ślad za nim wyszedł i zbliżył się do otwartych drzwiczek karety młody, przystojny mężczyzna z brodą, którego bodaj czy już gdzie nie widzieliśmy. Nie, nie mylę się, to nasz znajomy z dworku pp. Kluszczyńskich, dr. Mitręga, albo raczej, pleno titulo, dr. Emanuel Mitręga. Miał on dziwną jakąś minę, w której pewna uniżoność walczyła z chęcią pokazania się *à son aise*, jak gdyby to nie było spotkanie między hrabią a doktorem, ale spotkanie między dwoma dajmy na to, doktorami, lub raczej, i lepiej, dwoma hrabiami.

— Dzień dobry — odezwał się z karety głos uprzejmy wprawdzie, ale w którego intonacji herb Palemon pięciuset swojemi wiekami przygniatał jakoś wszystkie inne odcienie. — Cóż, widziałeś pan Oxenschlepa?

— W tej chwili rozeszliśmy się, i daliśmy sobie rendez-vous u hrabiego.

— No, to proszę! I tu oprócz głosu, pozwolę jeszcze sobie wprowadzić na scenę rękę hrabiego Albina, która skinęła łaskawie na znak, że dla dr. Mitręgi jest miejsce w karecie.

W tejże samej chwili, znajomi nasi mijali karetę. Dr. Mitręga odwrócił się przypadkowo ku nim, a Stanisław poznawszy go, uchylił kapelusza. Doktor ptzymrużył oczy, jak gdyby nie dowidzał, i zrobił ruch głową, mogący uchodzić za ukłon. Jednocześnie atoli, we wnętrzu karety, uchylił się, czy uchylonym został, kapelusz Panama, a z pod niego ukazało się oblicze przyjemnie uśmiechnięte. Było to oblicze hr. Albina. Powiedziałem już, że opisywać go nie będę, bo muza moja nie sięga w tak wysokie sfery: niechaj je sobie czytelnik sam wyobrazi, przyjąwszy odemnie zapewnienie, że wszystko co wyobraźnia jego wymarzyć sobie zdoła pod względem męzkiej piękności i pańskiej wykwintności znachodziło się w tem obliczu. Dr. Mitręga spostrzegł, że hrabia się kłania, wyciągnął więc szybko rękę i rzekł łaskawie:

— A, dzień dobry, panie Wołodecki!

Strzelec zamknął za nim drzwiczki, wskoczył na kozieł, i kareta, Palemon, hrabia Albin i dr. Mitręga, wszystko to znikło w mgnieniu oka, jak senne widzenie.

— I cóż ty na to? — zapytał Śmiechowski.

— Na co? — odparł Stanisław, nieumiejący sobie zdać sprawy z tak subtelnych zajść politycznych, o ktore tu chodziło, a przytem myślący w tej chwili o przecudnym negliżu panny Natalii i o ślicznych, starannie pielęgnowanych rączkach, które mu wczoraj podawały konfitury z róży.

— Uważaj-że o co chodzi. Rozbijaliście się wczoraj przeciw kandydaturze Ciemięgi, jako zwolennika Skirgiełły. Otóż widziałeś na własne oczy Mitręgę w karecie hrabiego Albina, i słyszałeś na własne uszy, że mają rendez-vous z Oxenszlepem. To wszystko powinieneś pamiętać, bo to ci otworzy drogę do łaski sekretarza, i do ręki panny Natalii.

— Któż jest ten Oxenszlep?

— O tem dowiesz się później, teraz chodźmy jeść, bo dłużej nie wytrzymam.

ROZDZIAŁ IV.

(Streszczający w krótkości wszystkie polityczne zagadnienia chwili, i kończący się okrzykiem: Niech żyje major Bombogromski! Wśród czego, jeden z bohaterów naszej epopei dostaje się do raju, a drugi do kozy.)

Pan Światozmysł Oxenszlep był właścicielem krótkiej, podsadkowatej figury i głowy grubej, ale artystycznie przystrojonej, tj. owianej długiemi nieco włosami i okolonej u dołu czarnym, przystrzyżonym zarostem. W rysach tej twarzy niektórzy fizjognomiści upatrywali pewne ślady semickiego pochodzenia, co atoli było zupełnie bezpodstawnem wobec faktu, że rodzina Oxenszlepów pochodziła z Szwecji, i była młodszą gałęzią Oxenstjernów. Obecny p. Oxenszlep był potrochę obywatelem świata, i jak każdy obywatel tego rodzaju, byłby był poniekąd w kłopocie, gdyby mu przyszło zeznać pod przysięgą, czem się właściwie trudni. W tej chwili podróżował pod tytułem, wziętym z języka Koszamerdynerów i brzmiącym: *ein Privatier*. Wracał z Beocji, a jechał do Chaocji; przed miesiącem atoli jeszcze załatwiał spór dyplomatyczny między Japonią i Koreą, a przed dwoma miesiącami negocjował pożyczkę kolei żelaznej z Abisynji do Zanzibaru.

Hrabia Albin przywitał go u siebie równie uprzejmie, jak dra Emanuela Mitręgę, kazał lokajowi obydwom podać cygara, i wyjść z pokoju.

— I cóż tam słychać w Beocji, panie Oxenszlep?

— Popłoch i bezradność okropna, brak pieniędzy i głowy. Arcykacyk drży w swoim pałacu i zażywa opium. Laputańczycy grożą, i lada chwila zajmą Kadmeopol, jeżeli ich kto nie zaszachuje. Cała nadzieja, że Milicja i Landwerja zrobią jaką dywersję — i w tej właśnie misji ja przybywam.

— A w Milicji co słychać, panie Mitręgo?

— Jak już hrabiemu pisałem, mamy dwie partje. Wilków jest przeciw Laputańczykom, ale stronnictwo sokołowskie występuje mocno przeciw Beocji, i prawdopodobnie weźmie górę w Krachenburgu, jeżeli się temu zawczasu nie przeszkodzi.

— Cóż pan radzisz, panie Oxenszlep?

— Mój plan jest taki: Najpierw potrzeba nam organu, nie tutaj w Wilkowie, ale w jakiej większej stolicy; organu światowego. Organ taki założyłem właśnie w Krachenburgu...

— Jak to, wszak wracasz pan z Kadmeopola!

— Ja takie sprawy załatwiam telegraficznie. Poseł Birnamski wszedł ze mną w umowę, potrzeba mu bowiem dziennika, któryby bronił jego praw do Mandalayu. Uważałem, że i to na coś przydać się może, zaasygnowałem więc pieniądze na kaucję i zatelegrafowałem program, a oto już mam numer na okaz.

— Jak to — zapytał hr. Albin — biorąc pismo do ręki. *Le Blagueur Universel*?! Więc ten organ, broniący interesów Birnamu, i wychodzący w Krachenburgu, redagowany będzie po francusku?

— Naturalnie, ażeby był powszechnie zrozumiałym! Ale nie o to chodzi. Potrzeba, ażeby Milicja materjalnie wsparła wydawnictwo, a w takim razie, *Le Blagueur Universel* będzie jej organem. Niektórzy grandowie i hidalgowie tutejsi subskrybowali już około 100 akcji, oto mam wykaz. Spodziewam się, że i hrabia nie zechcesz się ociągać.

— Patrzcie, patrzcie — zawołał hrabia — jakie to nazwiska! Prawie wszystkie z partji sokołowskiej!

— Którą przedewszystkiem zwalczać nam należy, w kraju i za granicą — wtrącił dr. Mitręga.

— Poradzimy na to. Po czemu akcja?

— Dwieście idealników.

— Hm, hm! Ażeby mieć zapewnioną większość, potrzeba...

— Najmniej 150 akcji.

— Hm, hm! To znaczy, 30,000 idealników. No, cóż robić, *vogue la galère!* Subskrybuję.

Dr. Mitręga oddawał się od kilku chwil ćwiczeniom mimicznym, których hrabia Albin niestety nie uważał. Widząc to, dr. Emanuel zwrócił się do p. Oxenszlepa i rzekł z przekąsem:

— Czy tak nagle potrzeba pieniędzy?

— Zapewne, że nagle — odparł pan Oxenszlep spokojnie. — Wyjeżdżam za godzinę do Krachenburga, i nie uzupełniwszy listy akcjonarjuszów, musiałbym zatrzymać się w Sokołowie.

— Spodziewam się, że uzupełnioną? — rzekł dumnie hrabia Skirgiełło, kładąc swój podpis na arkuszu.

— O najzupełniej! Mam zaszczyt polecić się względom hrabiego!

— Żegnam; do widzenia w Krachenburgu!

Exit p. Oxenszlep. Dr. Mitręga zrywa się z krzesła, z wyrazem wielkiego oburzenia.

— Jak można — woła — jak hrabia możesz iść na lep takiemu oczajduszy, i wyrzucać pieniądze za okno!

— No, jeszcze ich nie wziął, i dopilnuję ja tego, ażeby nie poszły za okno. Pomówmy teraz o naszych interesach. Co się dzieje z kandydaturą?

— W tej chwili ani mowy o tem nie ma, żebyś hrabia mógł być ambasadorem. Ciemięga przejdzie niezawodnie, jeżeli się coś nie zrobi.

— Cóż się ma zrobić?

— Potrzeba najpierw znaleść grunt silny w mieście. *Orędowniczka* niby kupiona, a niby nie kupiona. Wszyscy mi brużdżą...

— Ach brużdżą, brużdżą! Co też to za redakcja! Ten jakiś Kosturski ze swojemi manierami... Wczoraj np. ta scena w sali wyborczej, gdzie przegraliśmy najlepszą sprawę, dla tego, że przyszło mu do głowy przezwać jakiegoś mieszczanina Laputańczykiem! A dzisiejszy numer, to już pan redagowałeś?

— Od początku do końca.

— Otóż patrz pan, ile tu byków. W artykule kierującym taka łacina: *Victoria diebus placuit, sed victia Platoni.**) Zmiłuj się pan, co to znaczy? A parę wierszy niżej, Frydryk Hohenstaufen i Frydryk Hohenzollern tak się jakoś pomieszali jeden z drugim, z jeografją, i z chronologją, że nie sposób wybrnąć. Nareszcie, telegram z Madrytu donosi, że królowa Calatrava wraz z księżną Atocha wyjechała do Kanowy w Kastylji! Taki dziennik służyć tylko może na pośmiewisko ludziom wykształconym!

Nie wiem, jaki fakultet doktoryzował p. Emanuela Mitręgę, ale wiem z dobrego źródła, że był on w tej chwili bardzo czerwonym, i tem czerwieńszym, im mniej rozumiał, do jakich okropności przyznał się twierdząc, że sam od początku do końca zredagował cały numer. Ma się rozumieć, że składał winę na zecera, na korektora, i na »brużdżenie« ze strony innych redaktorów. (C. d. n.)

POGADANKI PEDAGOGICZNE

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

Bezinteresowność.

Przechodząc od zasad teoretycznej pedagogiki do wskazówek praktycznej, natrafiamy często na trudności, których się zrazu nie spodziewano. To co było prostem i łatwem w teorji, staje się zawiłem i trudnem w praktyce. Oto wyborny przykład tego rodzaju.

Nikt nie wątpi, że oszczędność, rządność, zdolność liczenia się z dochodami możliwemi, bez przeceniania ich, pewien spryt przedsiębiorczy, są przymiotami chwalebnemi, i zawsze radzi otaczamy uznaniem człowieka, który wyzyskiwać się nie dał, podczas gdy z lekceważeniem odzywamy się o tych, którzy przez niezaradność własny majątek przeputali lub na przedsiębiorstwach stracili.

Jestto sposób widzenia rzeczy słuszny, konieczny nawet w społeczeństwie, które chce stać o własnych siłach.

Ale istnieje także inny punkt widzenia rzeczy, nieprzeczący tamtemu w teorji, w życiu jednak doprowadzający często do kolizji. Jestto sposób widzenia rzeczy także moralny, tylko idealniejszej natury. Ogół oddaje cześć nietylko przedsiębiorczym i pracowitym, ale także i poświęcającym się, wspaniałomyślnym, *bezinteresownym*. Nie są to zaś sprzeczności, skoro często w jednej osobie czcimy i te i tamte przymioty. Człowiek zamożny mógł dojść do majątku sprytem, zabiegliwością i oszczędnością, a jednak przytem dopomagać drugim, łączyć swój interes z ich interesem, a nawet być dla celów publicznych ofiarnym. Uważamy takich ludzi za wyjątki, ale za wyjątki w podniosłem znaczeniu, i właśnie dla tego w ideale pedagogicznym stawić musimy za wzór człowieka, który jest *praktycznym* a jednocześnie *bezinteresownym*. Powiadamy więc: należy dziecko wychować tak, ażeby umiało być rządnem, oszczędnem, ale zarazem, żeby nie było skąpem i nieużytem.

I tu właśnie zaczynają się trudności w praktyce pedagogicznej. Jak te dwa usiłowania połączyć?

Na jednym z zebrań towarzystwa pedagogicznego, gdy zaproponowano wprowadzenie do szkół średnich kas oszczędności dla uczniów, powstał między pedagogami wielki spór oto, czy taki projekt odpowiada celom wychowania. Zarzucano mu, że zbyt wczesna oszczędność wyradza interesowność i chciwość na grosz, w wieku, który powinien właśnie odznaczać się jak największą bezinteresownością i idealnym na stosunki poglądem.

Sądzimy, że w tych zarzutach, w pewnym względzie słusznych, posunięto się jednak za daleko. Od oszczędności do chciwości i zmaterjalizmowania jest jeszcze bardzo daleko, i gdybyśmy na takich egzageracjach opierać mieli kształcenie moralne, to wypadłoby, że i bezinteresowności także szczepić nie należy, ponieważ ona przeradza się jeszcze łatwiej w niezaradność, rozrzutność i wszystkie lekkomyślne rodzaje ofiarności, gubiące jednostki i rodziny.

W duszy człowieka wszystkie bez wyjątku skłonności mogą wybujać nadmiernie i wzajemnie się przeradzać. Wszystko się tu zbiega i łączy. Nie tylko oszczędność może się przerodzić w chciwość, ale i przeciwnie chciwość może się przerodzić w rozrzutność. Dość wspomnieć zapalonych graczów w loterję. Grają oni przez chciwość; wygrana zapala ich, i wtedy stają się rozrzutnymi — na nowe stawki z jednej strony i na zbytki z drugiej... Wiadomo bowiem, że co łatwo przychodzi, jeszcze łatwiej rozchodzi się.

Ale czyż tego rodzaju przejścia mogą być brane za normę w pedagogice? Nie mamyż szczepić oszczędności dla tego, że ona może się przerodzić w chciwość, albo bezinteresowności, dla tego, że ona może wydać lekkomyślność? Taki sposób widzenia rzeczy byłby tylko wtedy uzasadnionym, gdybyśmy zgóry i zawsze musieli liczyć na to, że żadne inne skłonności równoważące, nie będą wszczepiane w dziecko; gdybyśmy zawsze byli przekonani, że uczeń *wyższych* klas szkoły średniej, któremu zalecamy oszczędność, tylko tę jedną cnotę w sobie rozwinie, żadnej innej nie posiadając. Wtedy istotnie mogłaby być obawa o to, ażeby ta cnota nie zawładnęła nim całym, a tem samem nie przerodziła się w wadę. Lecz taki stan rzeczy może być tylko wyjątkowym.

Każda rodzina uczciwa (a tylko taka może być brana w rachubę w pedagogice), stara się mniej lub więcej umiejętnie, zaszczepić w dziecku *różne* upodobania dodatnie, a wtedy zawsze jedne równoważą drugie, i jako taka harmonja ustala się.

Większa część z nich, tak jak w ogóle większa część zadań wychowania moralnego nie dą się osiągnąć w szkole, tylko w domu, w rodzinie. Dom jednak z pewnością wdzięczny będzie szkole, jeśli na tle ustalonych już przezeń przyzwyczajeń moralnych, choć jeden nowy przymiot charakteru rozwijać mu pomoże. Zresztą u nas, w naszem społeczeństwie i w naszym charakterze narodowym tak mało jest usposobienia do oszczędności i zaradności w ogóle, a tak bardzo przeważa skłonność do życia nad stan, że nawet nieco większy nacisk na praktyczność dorastających dzieci położony, bardzoby nam się przydał.

Nie należy więc idealizować w tym względzie. Owszem praktyczność uczciwa może być wyrabiana dość wcześnie.

Ale uznawszy to, stajemy dopiero w obec właściwej trudności, jak przy tem a więcej jeszcze przedtem rozwijać uczucia szlachetne, uczucia bezinteresowne? Chcąc ażeby nasze uwagi, mogły się przydać rodzicom i wychowawcom, musimy zejść do szczegółów.

Interesowność opiera się na egoizmie, czyli pragnieniu dobra własnego. Bezinteresowność na altruizmie, czyli pragnieniu dobra dla drugich. Pierwotne przyrodzone usposobienie organizmu, jest niewątpliwie egoistycznem. Chce on przedewszystkiem żyć, a więc jeść, mieć ciepło, oddychać, i poruszać się swobodnie. Oto wszystko czego żąda niemowlę. Zwolna jednak na tem tle czysto samolubnem powstają potrzeby jeszcze również samolubne, ale już idealniejsze. Dziecko doznaje przyjemności nie tylko wtedy gdy mu jeść dadzą, lub gdy je ciepło nakryją, lecz także wtedy, gdy słyszy dźwięk grzechotki, gdy mu niańka zaspiewa piosnkę, lub gdy matka śmieje się doń, pieści i całuje.

Nareszcie w trzeciem stadjum rozwoju, uczucia egoistyczne i idealne, idealizują się jeszcze bardziej; dziecko odczuwa coraz lepiej przyjemne uczucia drugich z widoku zewnętrznych ich oznak, i jeżeli ma własne potrzeby zaspokojone, ten widok przyjemności drugich, wystarcza dla ożywienia jego humoru. Spostrzegłszy raz, że matka okazywała wielkie zadowolenie próbując cukierka, który mu dać chciała, i przekonawszy się, że jest on rzeczywiście dobrą rzeczą, dziecko znajduje przyjemność w tem, że matce daje swój cukierek do ugryzienia.

Jestto wyborny punkt oparcia dla rozwijania uczuć bezinteresownych. Ale na nieszczęście zwykle zrzekamy się go dobrowolnie. Matka przez fałszywie zrozumianą miłość dziecka nie kosztuje cukierka na prawdę, lecz tylko dotyka go ustami i udaje przed dzieckiem, że jej doskonale smakował. Ono tego zrazu nie spostrzega, ale zwolna przekonywa się, że cukierek nic nie traci na tej ofiarności, uczy się zadawalniać otaczających tanim kosztem, uczy się obłudy, w której egoizm występuje w najbrzydszej swej formie, bo z pozorami bezinteresowności.

Tym sposobem nie tylko omijamy epokę, najdogodniejszą do ustalenia się pierwszych nałogów moralnych, ale nadto szczepimy nałogi wprost przeciwne.

Nie trzeba zaś zapominać, że pierwsze podwaliny moralnych uczuć, mogą być ustalone nie przez jakiekolwiek rozumowania, nauki i rady, lecz jedynie i wyłącznie przez ustalenie *nałogów moralnych*. Bezustanne powtarzanie najwznioślejszych przepisów o miłości bliźniego, a choćby tylko siόstr i braci, na nic się nie zda, jeśli dziecko na cukierkach, owocach, zabawkach i t. p. nie przyzwyczai się do bezinteresownego

*) Victrix causa diis placuit, sed victa Catoni.

dzielenia się z towarzyszami. A w tym względzie właśnie mnóstwo popełniamy błędów.

Najgorszym z nich jest faworyzowanie jednych dzieci przed drugiemi, które prędzej lub później obudzić musi poczucie niesprawiedliwości i chęć egoistycznej odpłaty w postępowaniu. Podział darów, zarówno zwykłych jak zbytkowych, powinien być zawsze nie bezwzględnie równym ale uzasadnionym objektywnie. Dzieci starsze powinne otrzymać więcej pokarmów istotnych, dzieci młodsze mogą mieć przywilej do łakoci, któremi zresztą nigdy bardzo szafować nie należy. Przytem trzeba się strzedz krańcowości w pedantycznem zbyt ścisłem wydzielaniu porcyj. Nie należy nigdy dopuszczać do tego, ażeby dziecko samo obliczało drobiazgowo co mu się należy, i żeby sprzeczało się o jeden orzech więcej, który się dostał bratu lub siostrze. Takie obliczenie powinno się odbywać wewnętrznie, bez pobudzania dzieci do sprawdzań. Owszem ażeby ta równomierność w podziale nie wywołała przyzwyczajeń do stałych pretensyj, niektóre z dzieci powinne być od czasu do czasu obdarywowane wyłącznie, jużto wskutek szczególnej zasługi, już z powodu imienin i t. p. uroczystości. Ale wtedy od pierwszej takiej próby, należy postarać się o to, ażeby dziecko obdarowane, samo podzieliło się z towarzyszami, według zasad tej samej sprawiedliwości, przestrzeganej zasadniczo, ale nie drobiazgowo. Nie trzeba nigdy w tych razach liczyć na samą altruistyczną przyjemność dziecka, lecz zaszczepić *nałóg*, który już potem zaspokojeniem swojem, sam mu dostarczy przyjemności moralnej, bezinteresownej.

Gdy te pierwsze zasady nie były przestrzegane, gdy przez rozdział kapryśny, dzieci nauczyły się zazdrościć sobie i wydzierać wzajemnie, już kierunek jest trudniejszym; już trzeba ostrzejszem postępowaniem zaczynać przyzwyczajanie na nowo. Trzeba wtedy wprost oświadczyć, że jeśli dzieci będą się kłócić, lub upominać się o więcej, wtedy nic nie dostaną, a oświadczenie takie, jak każde z oświadczeń rodzicielskich, powinno być sumiennie spełnione. Nigdy dziecko napróżno nie powinno słuchać przestrogi, wtedy tylko można będzie liczyć na to, że w przyszłości *sama przestroga wystarczy*.

Lecz w tem naprawianiu dawnych błędów, wpadamy częso w nowy błąd. *Zbyt silnie wdrażamy pojęcie własności*. Nakazujemy dzieciom policzyć swoje orzechy lub jabłka i pilnować je, a nawet ukrywać starannie przed drugiemi.

Jestto prosta droga do sobkostwa. Pojęcie własności powinno być owszem bardzo słabo akcentowane dopóty, dopóki dziecko w jakikolwiek sposób samo (w obec rodziców), *zarabiać* nie zacznie. A wtedy jeszcze, nie należy pozwalać na to, ażeby pojęcie własności łączyło się z poczuciem potrzeby krycia jej istnienia przed rodzeństwem. Tu nadzór starszych powinien jeszcze zastępować osobistą straż posiadacza, w którym jedynie rozbudzać należy potrzebę strzeżenia zabawek od zepsucia, zniszczenia, zguby, i t. p. ale nie dopuszczać jeszcze nawet myśli, że jedno dziecko, drugiemu może coś umyślnie zabrać lub zepsuć. Skoro jednak taki wypadek spełni się, pierwsze ukaranie powinno być względnie bardzo surowem, odstraszającem raz na zawsze. Ale ukaranie to powinno odstraszać przykrem fizycznem lub moralnem (dla dziecka, dostępnem) uczuciem kary, nie zaś strasznemi *wyrazami*, któremi się tak często nierozważni rodzice posługują.

Mówią n. p. z oburzeniem: „Józio jest złodziej, bo Józio ukradł mamie jabłko!...“

Takie postępowanie dowodzi nietylko braku taktu, ale najzgubniejszych zasad pedagogicznych. Mija się ono z celem, bo Józio najprzód nie mógł pojmować siły wyrażenia, którem go chciano poprawić, a powtóre choćby nawet w pierwszej chwili przemknęło przez jego umysł wyobrażenie złodziejstwa jako czegoś strasznego, to wewnętrzne poczucie jakości czynu, który w jego porzekonaniu był raczej tylko słusznym odwetem, wypełnieniem sprawiedliwości, wynikiem chwilowego popędu, albo wreszcie tylko figlem splatanym więcej przez pustotę niż przez złość—w krótce to wyobrażenie zaciera. Co więcej słysząc kilkakrotnie nazwę złodzieja, Józio oswaja się z nią i całkiem lękać przestaje. A wtedy nawet gdy podrośnie, gdy już będzie rozumiał szkaradę tej nazwy, i gdy istotnie jakąś rozmyślną kradzież scyzoryka albo ciastka popełni, wyraz, który teraz dopiero mógłby wstrząsnąć jego umysłem, odbije się od niego bezkarnie.

Bardzo surowe czynne wystąpienie przy pierwszym objawie wstrętnego egoizmu jest rzeczą konieczną. Surowość ta, atoli powinna być uważana jako środek negatywny tylko, a tem samem wyjątkowy, podczas kiedy główne usiłowania powinny nosić na sobie cechę dodatnią i być stałemi, jaśniej mówiąc powinny dążyć do wytworzenia *przyzwyczajeń bezinteresownych*.

Dziecko przyzwyczajone do wspólnych uczt dziecinnych, do wspólnych zabaw, do wspólnego ubierania się i rozbierania, porządkowania zabawek, do pomagania jedno drugiemu w łatwej pracy przez rodziców wyznaczonej, wreszcie później w pracy naukowej szkolnej, dziecko takie nie będzie egoistą. Jego przyjemności osobiste staną się nierozdzielnemi z przyjemnościami osób bliskich, a ze wzrostem władzy rozumowania stanie się tylko więcej biegłem w łączeniu własnego interesu z interesem drugich.

Wszystkie piękne przymioty moralne natury altruistycznej, takie jak współczucie, litość, braterstwo, przyjaźń, wierność i poświęcenie rozumne dla drugich, staną się jego naturą, cechą stałą jego charakteru na przyzwyczajeniu i zadowoleniu z niego opartą. Zbyt idealne jej wybujałości, jeźliby się okazały, życie samo obetnie i zatrze.

A lepiej zawsze dla młodzieńca, gdy życie nauczy go być bardziej praktycznym, niż gdy napróżno potem, obcy i blizcy szukać w nim będą uczuć bezinteresownej miłości.

Praktyczności można się nauczyć i na starość, ale szlachetności nie zdobędzie nigdy ten, kto jej nie miał za młodu.

WIDMO Z GÓR.

OPOWIADANIE BRET-HARTA.

Cisza panowała w sosnowym lesie; czuć było zapach żywicy; drobniutki pył z suchej kory i zwiędłego mchu igrał w powietrzu. Leżąc na wznak, zachwycaliśmy się splotami olbrzymich gałęzi, rozrzuconych na kształt namiotu, o sto stóp nad naszemi głowami. Tu i ówdzie, potężne słońce, przed którego żarem ukryliśmy się w cieniu, starało się dotrzeć do nas przez liściastą gęstwinę, ale poboczne gałęzie odbijały przenikające promienie, i tylko jasne światło przebiwszy się przez ciemne zasłony, rozlewało się w około nas, na kształt mglistego tumanu. Przenieśliśmy się w inną atmosferę, pod inne niebo, w inny zupełnie świat od tego, któryśmy przed chwilą porzucili. Uroczysta cisza, zdawało się, tak była zlaną nierozdzielnie z ożywiającym chłodem, że baliśmy się zagadać, i rozciągnięci pod drzewami, leżeliśmy tak jakiś czas, bez ruchu. Nakoniec głos przerwał milczenie: „Należy zapytać starego majora, on wie wszystko o tem.“ Wojenne przezwisko oznaczało mnie. Każdy Kalifornijczyk, bez objaśnienia zrozumie, że z tego wyrażania nie wynikało wcale, ażebym ja był „majorem“, ażebym był „starym“, ażebym cokolwlek wiedział o „tem“, lub nawet domyślał się o co właściwie chodzi. Był to tylko zwykły wstęp do rozmowy, rodzaj przedmowy, przyjęty w żargonie naszego *stanu*. Z tem wszystkiem, ponieważ byłem znany pod imieniem „majora“, zapewne z tej samej przyczyny, dla jakiej mówiący — eks-dziennikarz — zwany był „doktorem“, to uważałem za obowiązek, w rodzaju odpowiedzi, odtrącić nogą siodło przeszkadzające mi widzieć twarz towarzysza, i nie odezwać się ani słowa. „Wie wszystko o duchach“ — dodał doktor po niejakiej pauzie, której nikt nie myślał przerywać. — Ja mówię o duchach, sir. Oto czegobyśmy się chcieli dowiedzieć. Inaczej po co nam było leść do tej starej dziury kalawerskiego hrabstwa.

Nikt nie odpowiadał.

„W Cave-City jest zaczarowany dom. Znajdujemy się od niego o dwie, trzy mile najwięcej. Zdarzało mi się być w tych miejscach.“

Martwe milczenie.

Doktor (patrząc w przestrzeń). „Tak, sir, to była godna uwagi historja“

Ciągle też sama obojętność z naszej strony.

Wszyscyśmy wiedzieli, jak doktor wybornie mówi, wiedzieliśmy, że zaraz rozpocznie się opowiadanie i że najmniejsza przeszkoda pociągnie za sobą opłakane skutki. Nieraz byliśmy świadkami, jak jedno słowo potakującej zgody, jeden krótki wykrzyknik ciekawości, często nawet sama natężona uwaga milczącego słuchacza, były dostatecznemi, ażeby doktor nagle zmienił przedmiot rozmowy. Nieraz widzieliśmy, jak złowrogie wtrącenie się niedoświadczonego nowicjusza, oburzonego naszą dziwną obojętnością, było powodem nagłego zakończenia ciekawej anegdotki. Dla tego to nie odzywaliśmy się ani słowa. „Sędzia“, jeszcze jeden przykład dowolnego tytułowania, udawał, że śpi. Jack zwijał papierosa, a Tornton w zamyśleniu, ogryzał końce sosnowych igieł.

— Tak, sir — mówił dalej doktor, położywszy głowę na zarzucone w tył ręce — to było bardzo zabawne. Wszystko, prócz zabójstwa. Otóż to mnie szczególnie zajmuje, dlatego, że właściwie w zabójstwie tem nie ma nic nowego, ani fantazji, ani uczucia, ani tajemnicy. Wszystko się odbyło w starym stylu, według paragrafów przyjętego zwyczaju.

Starego pokroju górnik, na każdym kroku skąpił, dla oszczędności żywił się bobem i naciułał pieniędzy, ażeby udać się do domu, do krewnych. Starego pokroju rozbójnik wyostrzył

tradycjonalny nóż, nabił tradycjonalną skałkową strzelbę, oprawioną w miedź; podczas ciemnej nocy, stosownie do wszelkich reguł starego zakonu, napadł na górnika starym szablonowym sposobem i wyprawił go do krewnych, pokoleń poprzedzających, a sam ukrył się. Nic w tem tajemniczego nie ma; nie ma tu co ani objaśniać, ani zastanawiać się nad czem i duchy nic tu nie mają do roboty takiego, nad czem by się warto było mozolić. Co roku w Kalawerze zdarza się przeszło 40 zabójstw starego fasonu i ani jedno widmo nie zjawia się na doroczną stypę i nie ma żadnych usiłowań naruszenia spokoju pozostałych przy życiu członków społeczności. Z tej to przyczyny przyjaciele moi, gotów byłem powątpiewać o udziale duchów w awanturach Cawe-City. To zły precedens, sir. Jeżeli taki porządek zaszczepi się w górach, to wkrótce wszystkie ścieżki będą zasłane ofiarami Meksykanów i gościńcowych rozbójników, w każdym *stanie* i najmniejszym sklepiku nazbiera się mnóstwo kradzionych towarów, a wtedy czyjeż życie i własność będą bezpieczne? Co pan o tem myślisz, sędzio? — Pan tak światły prawoznawca?

Rozumie się, że odpowiedzi nie było. Doktor umyślnie od czasu do czasu przechodził w djalog, w nadziei złapania kogokolwiek na odpowiedzi, i teraz wyczekiwał, czy nie straci kto cierpliwości lub zaoponuje. Lecz zasadzka tym razem nie udała się; pozornie na zapytanie doktora nikt nie zwrócił uwagi.

— Tak więc po zabójstwie chata długo stała pustkami, nikt nie chciał w niej mieszkać, opinja publiczna była silnie przeciw niej uprzedzoną. Pewnego razu przyszedł do stanu oberwany poszukiwacz karjery, zupełnie zdziczały z ciężkiej pracy i prześladowania losu; biedak szukał przytułku i szczęścia. Mieszkańcy obejrzawszy go zadecydowali, iż on tak dużo przeszedł w życiu, że dwa, trzy duchy nic mu nie zaszkodzą.

Wysłali go do zaczarowanej chaty. Miał on wielkiego żółtego psa, tak prawie strasznego i dzikiego jak sam. Zuchy górnicy radzi byli, praktycznie się zapatrując, że od razu spełnili dwa dobre uczynki: przytulili włóczęgę i poparli kościół chrześcijański, wysławszy bojownika przeciw widziadłom i duchom. Co prawda, mało oni liczyli na staruszka, ale za to wielkie nadzieje pokładali w psie. Otóż w tem właśnie się omylili. Chata stała o trzysta kroków od najbliższej szachty w dolinie, tak, że podczas ciemnych nocy było tam tak bezludnie, jak na wierzchołku góry Szasty. Jeżeli wam zdarzyło się kiedy widzieć to miejsce przy bladym świetle księżyca, kiedy niskie krzaczki zdają się być leżącemi figurami a złamki kwarcu błyszczą jak czerepy, to zrozumiecie, w jak ciężkich warunkach znalazł się człowiek z żółtym psem.

Wprowadził się on do chaty zaraz po południu i zabrał się do gotowania kolacji. Podjadłszy, zapalił fajkę i usiadł przy gasnącym ognisku a żółty pies rozściągnął się u jego nóg. Nagle ktoś zastukał do drzwi. „Wejdź“ — odpowiedział gniewnie. Stukanie powtórzyło się. „Wejdźże, bodajcie djabli porwali“ — zawołał, nie ruszając się z miejsca. Nikt nie odpowiedział, a tylko szklanne okno rozleciało się z brzękiem w kawałki.

Zobaczywszy to staruszek podskoczył z iskrzącemi oczami i z rewolwerem w ręku, mając przy sobie psa z wyszczerzonemi zębami i jednem uderzeniem wywalił drzwi. Nikogo! Ale jak tylko otworzył drzwi, żółty pies tak śmiały dotychczas, nagle przypadł do ziemi i zaczął się cofać trzęsąc się całem ciałem i nakoniec wlazł aż w komin bez względu na pana. Ten zatrzasnął drzwi. Znów rozległo się silne uderzenie w okno, tym razem odgłos zdawało się pochodził z wewnątrz chaty, tak, że staruszek mimowoli obejrzał się na około, ażeby się przekonać, że nikogo w izbie nie było, poczem jednym skokiem znalazł się we drzwiach i jak szalony zaczął biegać na około chaty; ale na dworze było cicho i ciemno. Wtedy powrócił znowu klnąc i wołając psa. Ale wielki żółty pies, za którym zakładając się robotnicy stanu, gotowi byli poprzegrywać majątki, wsunął się pod ławkę, tak, że go trzeba było wyciągać tyłem, jak bydlę z drzewnej dziupli; oczy mu wyłaziły ze strachu, wszystkie członki, każda żyłka drżała a sierć najeżyła się do góry. Pan zawołał go do drzwi. Pies poczołgał się kilka kroków i zatrzymał się, wietrząc i nie chcąc iść dalej. Pan znów go wołał do drzwi łając i grożąc. Cóż robi żółty pies? Zgiąwszy się i przycisnąwszy do podłogi zaczyna pełzać przy ścianie, lecz w połowie drogi zatrzymuje się. Następnie przeklęty pies cicho skradał się ku drzwiom, podejmując wysoko łapy i drżąc na całym ciele. Potem znów się zatrzymuje, znów pełza i nagle podskakuje do góry na sześć cali, jak gdyby...

— Przez coś leżącego na podłodze? — wtrącił sędzia podnosząc się raptem na łokciu.

Doktor naraz się zatrzymał.

Juan, zwrócił się do jednego z tragarzów meksykańskich: przestań szarpać *riata*. Wyrwiesz kół i muł ucieknie. Pójdź tu.

Meksykanin zwrócił bladą, przestraszoną twarz na doktora, zamruczał coś i wypuścił z rąk rzemień z jeleniej skóry. Wszyscy chórem a sędzia najżałośniej, zaczęliśmy prosić doktora, ażeby opowiadał dalej.

— Zastrzelę tego, kto jeszcze raz przerwie panu — zawołał przekonywająco Tornton.

Lecz doktor ułożył się wygodniej i zdawało się, że stracił zupełnie chęć dalszego opowiadania: „No, pies uciekł w góry i żadne groźby ani pieszczoty pana nie mogły go zniewolić, ażeby wszedł napowrót do chaty. Na drugi dzień wydalili się ze stanu. Która to teraz godzina? Zdaje się, że słońce wkrótce zapadnie. A zejdźże z mojej nogi.

Słyszysz przeklęty Gryzer! couche!

My jednak wiedzieliśmy, że opowiadanie nie skończone i czekaliśmy dalszego ciągu. W lesie było jak przedtem spokojnie, tylko cienie opuściły się między gałęzie zielonego sklepienia a mrok wieczorny coraz bliżej i ciaśniej nas otaczał. Doktor przemówił leniwym głosem, jak gdyby zapomniał o przerwie:

— Jużem wprzód powiedział, żem nigdy tak bardzo tej historji nie wierzył, i nawet bym jej nie opowiadał, gdyby nie dziwny wypadek jaki się mnie samemu wydarzył. Na wiosnę 1862 r. wracałem z trzema towarzyszami i służbą z O'Keilla i śnieg nas zupełnie zasypał. Niepogoda była straszna: śnieg topniał, przemieniając się w deszcz i lód, wody wezbrały, strumyczki zamieniły się w potoki a strumienie w rzeki. Straciwszy dwa konie, zbłądziliśmy i, zmęczeni pochodem, zbici lodowatym deszczem, tułaliśmy się aż do nocy. Naokoło było niemiło i ponuro. Ja spostrzegłem migający przed nami ognik. Wyprzedziwszy pozostałych w dolinie, koń mój nie ustał jeszcze, krzyknąłem na towarzyszów, ażeby szli za mną i pogalopowałem w kierunku światełka. W kilka minut byłem przed małą chatką, ukrytą w gęstych zaroślach; zlazłem z konia i zastukałem do drzwi. Odpowiedzi nie było. Spróbowałem otworzyć drzwi przemocą, lecz były mocno z wewnątrz zaparte. Tembardziej się zdziwiłem gdy jeden z moich kolegów, który mnie dogonił, powiedział, że tylko co widział w oknie staruszka czytającego przy ogniu. Oburzeni taką niegościnnością, zaczęliśmy obydwaj walić do drzwi z głośnym krzykiem. Wewnątrz dała się słyszeć szybka odpowiedź, zasuwa zgrzytnęła i drzwi się otworzyły. Ujrzeliśmy właściciela chaty, niskiego przysadzistego człowieka z bladą zmęczoną twarzą i z wyrazem dobroduszności i łagodnego cierpienia w oczach. Gdyśmy weszli, zapytał nas, dlaczegośmy od razu nie zawołali.

— A toześmy stukali — odpowiedziałem z gniewem. O małośmy drzwi nie wywalili.

— To nic nie stanowi — odpowiedział łagodnie — ja już do tego przywykłem.

Znowu spojrzałem na jego spokojne, cierpliwe oblicze, na całe urządzenie chaty i przypomniałem sobie wszystkie szczegóły historji — nie blisko my od *Cave-City?* — zapytałem.

— Jakto — odpowiedział — to zaraz tu na dole. Pewnoście przejechali obok, podczas burzy.

— Rozumiem. Znowu oglądnąłem wszystko naokoło.

To chyba tak nazwana chata duchów?

Z ciekawością popatrzył na mnie. Tak jest — powiedział obojętnie.

Możecie sobie wystawić mój zachwyt; znalazłem sposobność sprawdzić wszystko do końca i zobaczyć do czego to doprowadzi. Nas było wielu, dobrze uzbrojonych, nie mieliśmy więc powodu bać się jakiejkolwiekbądź zasadzki. Jeżeli, jak utrzymywali niektórzy, straszyła banda maruderów albo rozbójników w celu zabezpieczenia swojej kryjówki, to nawet w razie napadu dalibyśmy im radę. Nie potrzebuję mówić jak moi towarzysze ucieszyli się gdym im powiedział o co chodzi. Tylko gospodarz nasz nie brał udziału w ogólnem ożywieniu, patrzał na nas niedowierzająco i apatycznie i znowu zabrał się do czytania z takim wyrazem twarzy jak u męczennika. Łatwo by mi było wciągnąć go do akcji; lecz postanowiłem działać samoistnie bez uciekania się do cudzego doświadczenia, zresztą nie chciałem już naprzód straszyć współtowarzyszów moich przygotowaniami. Zjedliśmy kolację i oczekując zasiedliśmy przy ogniu.

Minęła godzina — cicho, tak samo przeszła druga. Nasz gospodarz czytał i tylko słychać było jak deszcz bił o dach przerywając spokojność.. ale...

Doktor zatrzymał się; zauważałem, że od ostatniej przerwy, zamiast zwykłego prostego żargonu, wyrażał się stylem bardziej wyszukanym. Teraz, nagle znów przeszedł do poprzedniego tonu i spokojnie powiedział.

— Jeżeli ty nie przestaniesz tam szastać się, Juan, to ja cię nauczę. Pójdź tu, Gryzer! leżeć cicho!

Wszyscy zwrócili się gniewnie na winnego,

lecz blady, przestraszony wyraz jego twarzy, rozbroił nas. Na szczęście doktor zaczął mówić dalej.

— Zupełnie zapomniałem, że niepodobna mi było utrzymać w należytej karności naszej rozochoconej służby. Gdy minęła i trzecia godzina a widma się nie pokazywały, szepty i migi dały mi znać, że na coś się zanosi; za kilka minut ze wszystkich stron rozpoczął się stuk, ciężkie kamienie (zręcznie wyrzucane kominem) z łoskotem upadały na dach. Dziwne warczenie i najokropniejsze przekleństwa dawały się słyszeć z zewnątrz (dzięki szerokim szczelinom w ścianach chaty). A wśród tego piekielnego hałasu gospodarz nasz siedział spokojny i niewzruszony, bez najmniejszego śladu nieukontentowania albo wymówki na dobrodusznej, zmęczonej twarzy. Wkrótce stało się widocznem, że moja drużyna zabawiła się jego kosztem Pod pretekstem ażeby im pomógł szukać winnych tego hałasu, wyprowadzili staruszka z chaty i skorzystali z jego nieobecności, żeby przewrócić wszystko do góry nogami.

— Patrz starowino, co to duchy narobiły — rzekł główny przywódca żartu. — Wysypały mąkę z beczki, wywróciły kadź i wylały wszystką wodę!

Biedny starzec cierpliwie obejrzał ściany osypane mąką, spojrzał na podłogę, lecz, zlekka drgnąwszy, odskoczył w tył.

— To nie woda — spokojnie powiedział.

— Cóż więc takiego?

— Krew, popatrzcie sami!

Stojący najbliżej zadrżał i cofnął się, blady jak płótno. Dla tego, że panowie, na podłodze, przed drzwiami, jak raz w tem miejscu, gdzie pies starego włóczęgi, skulił się i przejść nie chciał, tam! panowie, klnę się honorem, tam szeroko rozścielała się ciemno-czerwona kałuża krwi ludzkiej! Trzymaj go! prędzej! trzymaj go!..

. . . .

Rozległ się strzał głośny i jak błyskawicą przerżnął ciemność lasu. Kiedyśmy dogonili doktora, to w jednej ręce trzymał dymiący jeszcze pistolet, a drugą, wskazywał na szybko uciekającą postać Juana, naszego meksykańskiego *vacquero*.

— Chybiłem, pal djabli! — zawołał doktor.

— Uważaliście go? widzieliście jak on zbladł i podskoczył przy wyrazie — krew? Widzieliście jak nieczyste sumienie odbiło się na jego twarzy!

— Czegoż milczycie? Czego tak na mnie patrzycie?

— To widmo zabitego człowieka, doktorze? — wyrwało się nam z ust wszystkim razem.

— Co u djabła za widmo! Nie! to meksykański *vacquero*, przeklęty Juan Ramirez! Poznałem w nim i chciałem zastrzelić — zabójcę!

POGADANKA KOSMOLOGICZNA.

przez

B. Abakanowicza.

II.

Mówiliśmy dotąd o wielkich ciałach zapełniających przestrzenie niebieskie. W wielkich odległościach tylko olbrzymów widzieć możemy i to widzimy z nich tylko takie, które silne wydają światło. Ciał ciemnych, i bardzo blado świecących nie widzimy wcale, a przecież przypuścić należy, że w około każdej prawie z gwiazd, tak jak w około słońca naszego krążą takie ostygłe kule, które świecą tylko odbitem światłem jak ziemia lub księżyc. Ale oprócz tych ciał większych znajdują się rozmaite inne jeszcze niezliczone mirjady ciałek drobnych, prawdziwych „wymoczków firmamentu“, o których także coś wiemy, a które pojawiają się nam w postaci meteorytów i gwiazd spadających. I one, zalegające wszechświat jak roje komarów, zasługują na szczególniejszą uwagę, bo grają w nim wybitną rolę, i to tem bardziej, że są zjawiskiem jednem z najpowszedniejszych, a mimo to przez ogół fałszywie tłumaczonych i mało znanych. Oprócz tego nowe badania na tem polu są tak charakterystyczne dla kierunku, w jakim się rozwija nauka astronomii, dowodzą tak potężnego rozwoju tej nauki i potęgi umysłu ludzkiego, że uważamy za stosowne zastanowić się nad niemi nieco głębiej.

Dawniej w najrozmaitszy sobie sposób objaśniano gwiazdy spadające, dziś wiemy, iż są one ciałami niebieskiemi należącemi do naszego układu słonecznego, opisującemi regularne drogi naokoło słońca, i znajdującemi się w bezpośrednim związku z kometami, których budowę dziwną i niezwykłą aż dotychczas nie zdołano zbadać dokładnie.

Największe zasługi w tej dziedzinie oddał astronom włoski Schiaparelli, który pracą swoją o gwiazdach spadających zjednał sobie odrazu znakomite imię w historji astronomii.

Schiaparelli twierdzi, że za kometami po ich drodze biegą w przestrzeni małe ciała, które powstają z komety i które uderzając w swym nadzwyczaj szybkim biegu o skorupę ziemską rozpalają się i pojawiają się nam w postaci gwiazd spadających

Wysokość zabłyśnięcia meteorów wypada z dość dokładnych obserwacji na nieco mniej niż 200 kilometrów. W tej wysokości meteor lecący w przestrzeni z szaloną szybkością 30 do 40 kilometrów na sekundę, uderza o powietrze i wskutek szybkości powstaje tak gwałtowne ciepło i cała massa rozżarza się, świeci i nawet zupełnie ulatnia przebiegłszy tylko małą przestrzeń drogi. Prawie się zawsze zdarza, że ze stałego ciała pozostaje w atmosferze tylko para, a jeśli kiedy taki meteor upadnie na ziemię, to już z bardzo małą szybkością, mniejszą zwykle niż szybkość kuli armatniej. Porządek zjawisk w czasie przebiegu jest następujący. Meteor ściska przed sobą powietrze; jeżeli jego prędkość większą jest niż prędkość rozchodzenia się fal powietrza, to to ściśnięcie nie będzie miało czasu udzielić się otaczającemu powietrzu i do każdego poprzedniego ściśnienia przybędzie nowe i doda się do niego. Na przedniej części meteora utrzyma się wskutek tego warstwa powietrza zgęszczona, może jakie tysiąc razy gęstszego niż nasze powietrze, w której się naturalnie rozwinąć musi nadzwyczajnie podniosła temperatura. Lecz czas przebiegu przez powietrze jest tak krótki, że tylko wierzchnia warstwa meteoru stopić się może. Ciała te miałyby czas na dobieżenie do skorupy ziemskiej, cóż więc jest powodem że się rozpraszają w parę? Schiaparelli odpowiada na to porównaniem biegu meteora przez powietrze z uderzeniem młota o kowadło. Przy uderzeniu meteora o powietrze powstaje wstrząśnienie w całej massie i temperatura wewnętrzna podnosi się w niesłychany sposób nie od tarcia o powietrze, ale od uderzeń, które szybko po sobie następują. Tą drogą ciało się ulatnia.

Do ziemi więc dolecieć mogą tylko te ciała, które posiadają wielką massę i te, które wpadają do atmosfery prawie poziomo, więc napotykają z początku bardzo mały opór, wskutek bardzo rozrzedzonego powietrza.

Póki meteory biegną w przestrzeniach niebieskich, wtedy ich nie widać, dla tego też tak trudno było poznać ich drogi i zbadać prawa według których krążą. Przyczynia się do tego jeszcze i to, że po wejściu do atmosfery, gdy są już widocznemi, zmieniają wskutek oporu swój bieg i wybierają odmienne kierunki. Trzeba więc było zbadać, jakie zmiany kierunku i prędkości wywrzeć może atmosfera na bieg gwiazd spadających i potem z tego wnioskować o poprzednim ich biegu. Przyciąganie ziemi, jej obrót, wiatry i. t. p. bardzo nieznacznie tylko mogą wpłynąć na zmianę drogi meteoru. Czas przebiegu jest prawie błyskawicznym, więc te przyczyny nie mają dosyć czasu na wywarcie znacznego wpływu. Najznaczniejszym jest sam opór powietrza, który nieraz zmusza gwiazdę do zakrzywiania drogi lub nawet do biegu wężowatego.

Jednym z najbardziej uderzających faktów jest perjodyczne pojawianie się gwiazd spadających w wielkich bardzo ilościach. Są niektóre dnie w ciągu roku, gdzie co chwilkę widzieć można jasną smugę przesuwającą się po niebie, jak np. w dniach 10go sierpnia i 14 listopada. Pokazują się wtedy tak zwane *roje* gwiazd spadających. Zauważano to zjawisko i badano bliżej w pierwszej połowie naszego wieku i tą drogą doszło się do poznania prawdopodobnej hipotezy, że meteory krążą w przestrzeni w olbrzymich pierścieniach, które ziemia w swym biegu napotyka w rozmaitych porach roku, wpada w nie jak w rój komarów i widzimy je wtedy jak świecą biegąc po firmamencie.

Jeszcze jest jedno zjawisko rzucające światło na istotę gwiazd spadających. Jest to tak zwana *radjacja*. Gwiazdy spadające w dniach pewnych wydają się jakby z jednego punktu na niebie wychodzące. Z takich punktów, zwanych radiantami, jak promienie rozbiegają się na wszystkie strony. Rój listopadowy zdaje się wylatać z punktu leżącego w konstelacji Lwa, i dla tego gwiazdy tego roju nazwano Leonidami. Gwiazdy roju sierpniowego nazywają się Perseidami ponieważ wylatują z konstelacji Perseusza.

Przekonano się, że zjawisko to jest tylko złudzeniem optycznem, bo w samej rzeczy meteory biegną równolegle, tylko, ponieważ widzimy te drogi perspektywicznie, więc się wydają one nam zbiegającemi w jednym punkcie. Zupełnie takim jest fakt zwężania się dla oka długich alei wysadzonych drzewami, lub promieni słonecznych przebijających się przez chmury.

Zjawisko radjacji odkryto w 1833 r. i od tego czasu napewno wiadomo, że meteory biegą równolegle i ztąd jeszcze wyciągnięto nowy dowód przypuszczenia, powiadającego, iż meteory opisują w przestrzeni pierścienie, które ziemia przebija w różnych epokach roku.

Tak stała w ogólnych zarysach nauka o gwiazdach spadających, aż do pojawienia się genialnej teorji Schiaparellego.

Po długich badaniach zdołał on obliczyć prędkość biegu meteorów w przestrzeniach niebieskich i w r. 1866 znalazł drogę przybliżoną roju Sierpniowego, tak zwanych Perseidów. Uderzyło go nadzwyczajne podobieństwo tej drogi z drogą, po której biegła kometa z r. 1862 Nr. III. Już na pierwszy rzut oka zdawało się, że meteory biegą po śladzie zostawionym przez kometę, jakby ją doganiając.

Schiaparelli postawił wtedy wniosek, iż rój Sierpniowy powstał z rozproszenia się komety z r. 1862. Po tej niespodzianej wiadomości niedługo poprzychodziły potwierdzenia. Znaleziono wielkie nadzwyczaj podobieństwo między rojem, listopadowym kometą Templa także z r. 1866., Te wypadki zwróciły uwagę na gwiazdy spadające, rzucono się wszędzie do ich badania i aż do dnia dzisiejszego zbierają się ciągle potwierdzające materjały.

I tak w r. 1872 przybył fakt najzupełniej prawie decydujący. Widziano od przeszłego wieku na niebie kometę, zwaną kometą Biela, mającą bardzo krótki czas obrotu naokoło słońca, bo tylko $6^3/_4$ lat. Widziano ją od r. 1772 do 1846. W tym ostatnim roku kometa rozszczepiła się aż na dwoje i obie połowy zaczęły się powoli od siebie oddalać. Nareszcie znikły zupełnie i nie przyszły na widok w oznaczonym czasie w r. 1859. i 1866. Szukano ich wszędzie, obrachowywano drogi, lecz nic nie pomogło; stracono ich ślad zupełnie. Jednak po ogłoszeniu teorji Schiaparellego znaleziono, że droga roju gwiazd spadających przypadającego na dzień 27. listopada jest bardzo podobną do drogi regularnej komety Biela. W r. 1872 ziemia przecinała właśnie drogę tej komety, spodziewano się więc większej niż zwykle ilości gwiazd spadających i rzeczywiście okazałość zjawiska przeszła wszelkie oczekiwania. Otóż Klinkerfues odszukał na chwilę w czasie roju z r. 1872 jedną część komety Biela. Przyszła mu myśl znakomita; ponieważ rój przechodząc przez atmosferę, opisuje łuki bardzo zbliżone do prostej linji, więc prawdopodobnie na przedłużeniu kawałka drogi roju przez atmosferę ujrzeć będzie można ten rój na niebie w świetle odbitem. Zatelegrafował 30go listopada do Indyj do Madrasu do dyrektora obserwatorjum Pogsona, aby go szukał we wskazanym kierunku w konstellacji Centaura. I w samej rzeczy Pogson przez dwa dni z rzędu widział kometę w oznaczonem miejscu.

Dla nowej teorji był to tryumf znakomity.

W jakim bliższym związku znajdują się komety z rojem meteorów biegących za niemi, jest to rzecz nie bardzo jasna i trudna do rozwiązania. Schiaparelli powiada, iż komety rozpraszają się w swoim biegu i pozostawiają na swej drodze części, które się potem zgęszczają i tworzą stałe meteory.

Drobiny wszystkich ciał niebieskich, a więc i komet skupione są około swego punktu środkowego w skutek siły przyciągania, która łączy wszystkie w jedno ciało Gdyby siły nie było, to drobiny rozleciały by się na wszystkie strony, przyciągane przez gwiazdy i planety, do którychby poleciały jak opiłki żelazne do magnesu. Otoż to przyciąganie w kometach istnieje, bo inaczejby i sama kometa istnieć nie mogła. Każda więc cząstka jest przyciąganą ku środkowi i każda z nich dąży zbliżyć się do drugiej. Tymczasem przedstawmy sobie, że taka kometa zbliża się, do słońca, które coraz bardziej, w miarę zbliżania się, zaczyna ciągnąć cząstki w kierunku odwrotnym, ku sobie. Lecz jeszcze siła przyciągania do środka komety jest większą niż siła odśrodkowa ku słońcu pchająca. Nareszcie skoro kometa tak się zbliży, że ta ostatnia weźmie przewagę, to kometa rozprószy się i cząstki jej opisywać poczną drogi niezależne. Naturalnie, że to przytrafić się może ciałom o bardzo małej gęstości, a do takich należą bez żadnej wątpliwości komety.

Jeśli kometa o tyle zbliży się do słońca że siła jej przyciągania wewnętrznego i siła przyciągania ciała niebieskiego są w równowadze, to znowu potem gdy się jeszcze trochę ku słońcu zbliży, nastąpi rozpraszanie. Warstwy zewnętrzne, jako mniej gęste naprzód się oddzielają od komety, w dalszym biegu rozpraszanie się postępuje coraz głębiej i jeżeli w maximum zbliżenia siła rozpraszająca będzie wystarczającą, to kometa zniknie, a pozostanie tylko na jej drodze prąd z materji kometowej. Materja ta w dalszym swym biegu powoli zgęszcza się w małe ciała i formuje nizliczone massy meteorów stałych, które potem widzimy w naszej atmosferze jako gwiazdy spadające. Ta hipoteza rozpraszania się, tłumaczy nam rozszczepienie się i rozdzielenie na dwoje komety Biela, o której wyżej wspominaliśmy i owe mgliste powłoki które się wydzielały z komety Donatiego, gdy się ona zbliżała do słońca.

W bardzo bliskiem pokrewieństwie z gwiazdami spadającemi są *meteoryty,* które wpadają w naszą atmosferę z niezmierną szybkością i nieraz dosięgają powierzchni ziemi z powodu swych dość wielkich rozmiarów. Obliczanie ich biegu wykazało, iż nie należą one tak jak komety i gwiazdy spadające do naszego układu słonecznego i nie krążą na około słońca, lecz owszem przybywają ku nam z dalekich przestrzeni światowych, z okolic, w których stałe gwiazdy widzimy i są prawdziwemi „wysłańcami wszechświata“. One nam namacalnie dowiodły, że świat cały złożony jest z jednych i tych samych ciał, jak też jedne i te same siły rządzą ciałami niebieskiemi w całej jego przestrzeni.

SIEROTY

z WIKTORA HUGO.

I.

Noc. Ciężkie krople deszczu, wiatr zimowy miecie,
Chata jest pełną cienia, ale w pośród cieni
Jakieś niepewne światło mdławo się promieni.
Pod sufitem rybackie rozwieszone siecie,
Parę drewnianych półek przy bielonej ścianie,
A na nich kilka misek obok pustej dzieży;
W głębi tapczan pokryty płótnem, przy tapczanie
Na dwóch koszlawych ławach stary siennik leży;
Tam dziatek śpi pięcioro. A z komina płowe
Światło na czarne belki w krwawy odbłysk pada,
Mżąc ponuro. Oparłszy na tapczanie głowę,
Młoda kobieta klęczy i modli się blada...
To matka. Sama w chacie. Zewnątrz, śród nawały
Burzliwej, na mgłę, na noc, na wichry, na skały,
Naspieniony ocean gromką skargę miota.

II.

Mąż jej na morzu. Wiosłem ciemne fale porze;
On rybak. Walka z losem to jego żywota
Jest dola. Deszcz czy burza, on musi na morze
Płynąć, bo dzieci głodne. Odjeżdża z wieczora,
Gdy się przypływ bałwanów silniej z brzegiem pora
Sam, a nieraz mu w duszy ponuro i smutno.

Tymczasem żona w domu grube zszywa płótno.
Naprawia wędy, suszy pomoczone sieci,
Dogląda ryby, która wędzi się w kominie,
I modli się do Boga, żeby spały dzieci.
On w mroźną noc grudniową coraz dalej płynie,
Prując falę po fali, wysiłkiem znękany,
A w koło chłód, i ciemność i szum morskiej piany.
Tak trzeba wciąż przed siebie przez morskie odmęty
Płynąć śród skał podwodnych, które szum wód bieli,
Żeby odnaleźć miejsce, gdzie los uśmiechnięty
Obdarzy łowcę rybą o złoconej skrzeli.
A przestrzeń to nie wielka śród wodnej otchłani,
Punkcik w nieskończoności, kędy morze cichsze,
Jakże go tu wyszukać przy zimowym wichrze,
Co kawałkami lodu twarz i ręce rani.
Kiedy niebo dokoła czarną skryte chmurą,
Gdy się coraz gwałtowniej prąd morski wysila,
Skrzypią zmęczone żagle, ster jęczy ponuro,
A wiosło się z pod ręki wymyka co chwila,
On tymczasem śród fali, co huczy spieniona,
Marzy o swej najdroższej Joasi, a ona
Duma o nim i płacze... i myśli ich rączo
Biegnąc jak dwie ptaszyny w powietrzu się łączą.

III.

Matka szepcze modlitwę co majtków śród burzy
Chroni, zdala głos mewy ponuro jej wtórzy
I przeraża ją morze tą głośną nawałą,
Jakieś cienie przez duszę ciągną się zbolałą,
Coraz smutniejsze widma zwołując i krwawsze
Tych, którzy w głębiach morskich legli już na zawsze.

Tymczasem stary zegar, dźwięki miarowemi,
Rozmierza czas, i liczy godziny, dnie, lata,
A każde uderzenie na przestrzeni świata
Jakieś życie zamyka, albo nowe plemi,
Otwierając na dolę możnych lub nędzarzy
Tu kołyskę a tam grób.
Więc kobieta marzy.

Bo wielki ciężar nędzy mdłe jej barki niosą.
Nieraz zimą czy latem, biedna chodzi boso,
Krzątając się za chlebem co czarny i suchy.

Na niebie chmur płaszcz szary wiatr rwie na okruchy.
Dmąc jak miech, a o skały szum fal bije wściekły
Jakby młotem... Ostatnie gwiazdy już uciekały
I znikły niby iskry gasnące w popiele...
Już północ. Owa północ, co płodzi wesele
I z pod maski jedwabnej uśmiecha się rada.
I owa północ zbójcza, gdy wiatr rozszalały
Zbłąkanego na morzu rozbitka napada
Gruchocąc go o twarde ścian podwodnych skały.
I strasznie, kiedy deski zgruchotane z trzaskiem
W głąb się suną, a fala jęk ostatni głuszy,
Gdy zapadając w otchłań, przed oczyma duszy.
Nędzarz widzi brzeg słońca ozłocony blaskiem.

IV.

Biedne żony rybaków! O! ileż cierpicie
Powierzając otchłani miłość waszą całą!
Gdy wasz mąż, syn, brat, ojciec walczy tam o życie,
Gdy w tym wirze lgnie wasza krew, dusza i ciało!
Bo fala morska ślepa, głupia i zdradziecka,
Kobieta czuje że śmierć naostrza swe szpony,
I że nad głową męża lub nad głową dziecka
Wicher morski rozwija pęd burzy szalony,
I że przeciw tym falom co zdziczałe płyną,
I że przeciw tym skałom co szarpią w kawały
Jedynem ocaleniem, ucieczką jedyną
Jest parę lichych desek i szmat płótna mały...
Więc biedna na brzeg biegnie i śród nocnej ciszy
Drogich, krzykiem rozpaczy wzywa z serca wnętrza,
Ale morze nie widzi, nie czuje, nie słyszy,
Tylko coraz groźniejszą falą się rozpiętrza.
Lecz Joanna jest strokroć nieszczęśliwszą, ona
Wie, że mąż jej sam jeden, i może w tej chwili
W ostatniej grozie śmierci walczy tam i kona...
Więc mówi: Gdybyż chłopcy choć dorośli byli,
On tam sam! — A gdy kiedyś, z nim, na morskiej fali
Zawisną, rzeknie z płaczem: «Gdybyż byli mali!»

V.

Bierze płaszcz i latarkę i wychodzi. Trzeba
Opatrzeć brzeg skalisty i zbadać stan nieba;

Czy płomień co powrotu zwiastuje nadzieję,
Nie płonie już sygnałem na maszcie... czy dnieje...
Zobaczmy. W koło pusto i głucho. Śród cieni
Jeszcze się biała linja zorzy nie promieni.
Deszcz mży. Ów deszcz poranny, który się zdradziecko
Wpija wszedzie i ciało zimnym wstrząsa dreszczem.
Dzień się waha niepewny, bo światło jak dziecko
Czując że się ma na świat zrodzić — płacze deszczem,
A w oknach wszędzie ciemno.

Tędy oto droga...

Joanna dąży przed się. Wśród chmur deszczu łzawych
Tam cień jakiś. To stoi lepianka uboga;
Bez światełka, drzwi skrzypią na zawiasach rdzawych
Na wolę wiatru. Ściany spękane. Ze strzechy
Dziurawej, mokre słomy zwieszają się wiechy,
Bo je starość ku ziemi nachyla i gniecie.

I spojrzała Joanna.

— To biedna wdowa,

Rzekła, jej także ciężko na tym Bożym świecie,
Cherlała wciąż nieboga... Zobaczmy czy zdrowa?...
A więc ostrożnie do drzwi puka. Cisza głucha.
Dreszcz ją przejął. Milczenie. Znów nadstawia ucha.

— Widać chora, a dzieci dwoje. Sama jena,
Bez męża. Ciężko żywić dzieci. Musi biedna
Cierpieć.

I puka mocniej, myśląc sobie:

— Pewno

Śpi twardo. Jakże do niej pukać trzeba długo!...

Wtem drzwi same się niemą otwarły posługą,
Jak gdyby czucie ludzkie martwe miało drewno.

Więc weszła i spogląda na okół. Latarnia
Skupione cienie izby na strony rozgarnia,
A deszcz kapiąc z pułapu w mgłę się siną mroczy.

I nagle straszny widok uderzył jej oczy.

W kącie izby, na kłębie zbrukanej odzieży
Naga, sina i sztywna kobieta tam leży.
To trup. Już się jej oczy na zawsze zawarły.
Przerażający widok tej matki umarłej...
Biedna!... Toż z niej zostało po upartej walce
Z losem?... Ręka jej jedna zwiesza się ku ziemi,
Jakby chciały ją ująć zesztywniałe palce...
A tchnienie śmierci wieje ustami,
Które w ostatniej chwili, zionąc z siebie ducha,
Wydały ten krzyk grozy, co go wieczność słucha.

Obok niej, przy zastygłem ognisku komina,
Leży dwoje dzieciaków, chłopak i dziewczyna,
I we śnie uśmiechają się do siebie.

Matka,

Dłoń śmierci już na sobie czując lodowatą,
Chciała swe biedne dzieci chronić do ostatka
I wystrzępionej sukni nakryła je szmatą.
A była to ostatnia już sierot osłona...
Niech w cieple zasypiają, kiedy skrzepnie ona.

VI.

Jak cicho spią przy sobie te biedne sieroty!...
Tchnienia się ich mieszają razem. To sen złoty
Niewiniątek i żadna zdałoby się siła
Nie przerwie go, a możeby ich nie zbudziła
Trąba ostatecznego, na krawędzi
Chmur.

Dzieci Boskiego nie boją się Sędzi.

A szaruga wre zewnątrz. Przez zmurszałe sople
Słomy, na trupa, deszczu wciąż spadają krople.
Zdawałoby się, że łzy po tej twarzy płyną.
Jakieś dzikie odgłosy wstrząsają głębiną
Wód, jak dzwon pogrobowy, a martwa ich słucha.
Jakby ciało napowrót zwoływało ducha.

Usta z oczyma gwarzą w milczeniu głębokiem...
— Coś zrobił z twojem tchnieniem?—A ty z twoim wzrokiem?

Niestety! żyjcie, czujcie, cieszcie się. To wasze
Co dzisiaj. Do dna szczęścia wypróżniajcie czaszę,
Nie wsłuchując się w głosy, które wieczność szepce.
Bo los, tej uczcie życia pierwotnej kolebce,
I matkom czuwającym nad dziećmi bez przerwy,
I pocałunkom ciała, co wstrząsają nerwy,
I uśmiechom, i pieśniom co na usta biegą,
Jako ostatnie słowo daje grób.

VII.

Dlaczego

Joanna tak ucieka od tej matki ciała.
Zostawiając je w cieniów otoczeniu smętnem?
I kryje coś pod płaszczem jakby się lękała?
I serce jej uderza przyspieszonem tętnem?
Czemu szybko do domu drżącym dąży krokiem,
Jakby ją straszne jakieś goniły widziadła?
Czemu, wszedłszy do izby, niespokojnym wzrokiem
Wodzi kryjąc coś w łóżku?...

Co ona ukradła?

VIII.

Szarawe światło zorzy już zwolna z pod cienia
Bielało, w chatce tchnienia szeptały dziecięce
Modlitwę, ona siadła i głowę na ręce
Oparła, jakby trapił ją wyrzut sumienia.
Jakieś słowa się w ciszy z ust jej wyrywały,
A wtórzył im szum fali zdala rozszalałej.

Biedaczysko — mówiła — cóż on na to powie,
Jak trudy życia na nim ślady swe wyryły;
I tak dzieci pięcioro na tej jednej głowie
Cięży — tyle pracować — to chyba nad siły.
A tu jeszcze... — wszak to on? — nie — I cóż?... Któż
[poda
Biednym rękę?... musiałam. Przyjdzie tu za chwilę —
Może zechce mnie wybić — odpowiem mu... zgoda
Bij mnie... tak... to on teraz... nie — znowu się mylę.
To trudno... oburknie się... powie że nic potem...
Tak pragnęłam by wrócił... teraz mam obawę...»
Powstała i raz jeszcze upadła na ławę
Bezwładna... serce w piersi biło jakby młotem,
Więc tak siedziała nad swym zadumana losem;
A mewy się chrapliwym odzywały głosem.
Nagle drzwi zawiasami skrzypnęły staremi,
Struga światła białego zabłysła na ziemi
I rybak, siatkę w ręku trzymając zmoczoną,
Stanął u wejścia i rzekł:

— No masz mnie już żono!

IX.

Joanna się gwałtownie rzuciła ku niemu
I na piersiach mu zawisła, a on po staremu
Wziął ją i ucałował, i w brzasku półcieni
Pozostali tak chwilę uściskiem spojeni.

— Jakaż pogoda?

— Dżdżysta.

— A morze?

— Bez chyby

Burza będzie, bo wiatr dmie jak z miecha, dwa węzły
Płynąłem, ale siecie nadaremnie grzęzły,
Ani jednej mizernej nie schwyciłem ryby.
Wicher pchał łódkę na bok, myślałem bez mała
Że wywróci, a grad mnie tak wytłukł aż parzy...
No... ale ty przez ten czas cóżeś porabiała?
W domu zdrowo?

Kobieta skraśniała na twarzy.

— U nas? — rzekła — a coż chcesz mój kochany? co tu
Może być? szyłam trochę i słuchałam grzmotu
Dalekiego, jak w morskiej odbijał się fali...
Głos jej począł drżeć trochę, lecz mówiła dalej:
— Czy wiesz?... nasza sąsiadka umarła... ta wdowa
Po majtku... no, była już nie zupełnie zdrowa...

To wczoraj... dzieci dwoje pozostało po niej...,
A powiadam ci jaka nędza?... niech Bóg broni!...
Jedno jeszcze nie chodzi, a drugie od ziemi
Ledwie odrosło... straszna bieda będzie z niemi...
Rybak nagle spoważniał i rzucił do kąta
Czapkę sączącą wodą?

— Ot tobie wesele!

Rzekł — do nas zawsze jakaś bieda się przyplątа...
A przyznam się, siedmioro, to trochę za wiele...
I tak bywały chwile, że się kładło nieraz
Bez wieczerzy... A pytam, co tu robić teraz?
No — lecz to nie ich wina... Jak się raz usadzi
Nieszczęście... Niech Bóg radzi o swojej czeladzi...
Po co im zabrał matkę... mój ty Jezu złoty!
Co tobie zawiniły te biedne sieroty?
Wszak pracować nie mogą... to już nad ich siły...
No... wiesz co moja żono... jeźli się zbudziły,
Idź i sprowadź je tutaj... to charłactwo głupie
Musi tam drżeć ze strachu i zimna przy trupie.
To matka do wrót naszych puka o te swoje
Sieroty... do pięciorga przybędzie ich dwoje.
I jeśli się nam przez to pomnoży mozołów,
Jeźli nie potrafimy im zaradzić sami.
To Pan Bóg, ojciec sierót, pewno się nad nami
Zlituje i obfitszy nadarzy mi połów.
Będę pił czystą wodę i pracował za to
Za dwóch... No... czemuż na mnie patrzysz głupowato?
Rusz-że się... dalej! żywo...

A żona zasłonę

Od łóżka uchyliwszy, rzekła:

— Otóż one!

Wacław Szymanowski.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Miasto stali.

Miejsca i czasy zmieniły się. Od pięciu lat spadek Begum dostał się dwom spadkobiercom; scena zaś przeniesiona została do Stanów Zjednoczonych, na południe Oregonu, o dziesięć mil od wybrzeży Spokojnego Oceanu. Znajduje się tam ziemia z granicami, niewyraźnie określonemi od dwóch sąsiednich mocarstw; tworzy ona rodzaj Szwajcarji amerykańskiej.

Szwajcarja to była w istocie, ale z pozoru tylko, i tam, jak w Europie, ostre szczyty wzbijają się ku niebu, głębokie doliny przerzynają długie łańcuchy gór, i oko wszędzie napotyka wspaniały i dziki widok.

Ale fałszywa ta Szwajcarja nie oddaje się, jak Szwajcarja europejska, spokojnemu przemysłowi pasterza, przewodnika lub oberżysty. Jest to tylko alpejska powierzchowność, skorupa ze skał, ziemi i stuletnich sosen, pokrywająca bryłę z żelaza i węgla kamiennego.

Jeżeli samotny turysta zechce tu podsłuchać głosy otaczającej go natury, o ucho jego nie odbije się, jak na wyżynach Oberlandu, harmonijny szmer życia, tonący w wielkiej ciszy gór. Usłyszy tylko z daleka dochodzący go odgłos bijącego młota, a pod nogami poczuje przy-

tłumione wystrzały prochu. Zdaje się, że grunt ten przysposobiony jest jak spód teatru, że skały te wydają dźwięk taki, jakby puste były, i że lada chwilę zapadną się gdzieś w tajemnicze jakieś otchłanie.

Drogi, pokryte popiołem i koksem, wiją się dokoła gór. Z pod żółtawych kępek traw wyglądają małe kupki żuzla, mieniącego się kolorami tęczy, jak oczy bazyliszka. Tu i ówdzie stara studnia opuszczonej kopalni, popsuta deszczami, chwastami opleciona, ukazuje swą paszczę otwartą, niby otchłań bez dna, niby krater wygasłego wulkanu. Powietrze, przesycone dymem, wisi nad ziemią jak ponury płaszcz. Żadnego ptaka nie ujrzysz, owady nawet zdają się uciekać ztąd; nikt jeszcze nie widział tu motyla.

Fałszywa Szwajcarja! Na północnej granicy jej, w miejscu gdzie pasmo poprzecznych gór zlewa się z płaszczyzną, między dwoma pasmami małych wzgórz, otwiera się tak zwana aż do 1871 r. „czerwona pustynia“, dla barwy ziemi, przesyconej tlenkiem żelaza, i to co się teraz nazywa: Stahlfield, „stalowe pole“.

Wyobraźcie sobie płaszczyznę z pięciu lub sześciu mil kwadratowych, z gruntem piaszczystym, pełnym kamyków, suchym i martwym jak łożysko jakiegoś dawnego wewnętrznego morza. Natura nic tu nie zrobiła, by nadać tej pustyni choć pozór życia i ruchu, ale człowiek rozwinął tu niesłychaną moc charakteru i energię.

W przeciągu lat pięciu, na płaszczyźnie nagiej, skalistej, powstało ośmnaście wsi, złożonych z małych drewnianych domków, szarych i jednostajnych, które zbudowane już przeniesiono z Chicago; liczna ludność silnych robotników zamieszkała je.

Na samym środku tych wsi, u stóp Coals-Butts, gór posiadających niewyczerpane zasoby węgla ziemnego, wznosi się ciemna, olbrzymia masa, złożona z budynków regularnych, o symetrycznych oknach, o czerwonych dachach, ponad którymi wznosi się las cylindrycznych kominów, buchających kłębami sadzowatego dymu. Dym ten zawisa na niebie firanką czarną, którą od czasu do czasu przeszywają czerwone błyskawice. Wiatr daleko roznosi huk podobny do grzmotu lub do kołysania się morza, ale huk to równiejszy i głębszy.

Masa ta, to Stahlstadt, „stalowe miasto“, miasto niemieckie, osobista własność Herr Schultze'go, exprofesora chemii w Jena, który za pomocą milionów Bégum założył ogromną fabrykę żelaza, a mianowicie największą na oba światy gisernię dział.

W istocie, wylewa ich ogromną ilość rozmaitego kształtu i rozmaitej wielkości, o kanale walcowym, gładkim lub gwintowanym, o tyle ruchomym lub stałym, dla Rosji i dla Turcji, dla Rumunii i dla Japonii, dla Włoch i dla Chin, a szczególnie dla Niemiec.

Dzięki potędze ogromnego kapitału, olbrzymi zakład, prawdziwe miasto, które jest zarazem wzorową fabryką, powstało z łona ziemi, jak gdyby za uderzeniem czarnoksiężkiej laski. Trzydzieści tysięcy robotników, po większej części Niemców z pochodzenia, zgromadziło się w niem, i zaludniło przedmieścia. W kilka miesięcy, wyroby tej fabryki dla doskonałości swej pozyskały sławę powszechną.

Profesor Schultze z własnych kopalni wydobywa rudę żelazną i węgiel kamienny. Na miejscu zamienia je w roztopioną stal. Na miejscu robi z tejże działa.

Potrafi on zrobić to, czego żaden z współpracowników jego nie w stanie jest dokonać. We Francji produkują sztaby stali, ważące czterdzieści tysięcy kilogramów. W Anglii zrobiono działo ze stu tonnów *) żelaza kutego. W Essen p. Krupp doszedł do tego, że topi bryły stali, ważące sto tysięcy kilogramów. Herr Schultze nie zna granic: zażądaj u niego działa jakiego chcesz kalibru i jakiej chcesz siły, on ci je zrobi, to działo, świecące jak złoto, i dostawi ci je na czas umówiony.

Ale możesz rachować na to, że każe sobie zapłacić słono! Zdaje się, że owe dwieście pięćdziesiąt milionów z 1871 r. zaostrzyły tylko jego apetyt.

W przemyśle lania dział, jak i we wszystkiem innem, ten tylko jest prawdziwie silnym, który może to, czego inni nie mogą. I trzeba przyznać, że działa Herr Schultze'go nie tylko dosięgają rozmiarów nieznanych dotąd, ale nadto, że nigdy nie pękają; mogą zepsuć się od zużycia, ale nic więcej. Stal, wyrobiona w Stahlstadzie, zdaje się posiadać szczególne własności. Z tego powodu obiegają legendy o tajemniczych mięszaninach i o sekretach chemicznych. To pewna jednak, że nikt nie wie, jak to jest w istocie.

Ale i to pewna także, że tajemnica starannie jest zachowana w Stahlstadzie.

Daleki ten zakątek Ameryki Północnej, otoczony pustyniami, wałem gór odosobniony od świata, o setki mil odległy jest od najbliższej ludzkiej osady; napróżnobyśmy szukali tu śladu owej wolności, która była podwaliną rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych.

Stanąwszy przed samymi murami Stahlstadtu, jeszcze nadaremnie usiłowałbyś przekroczyć chociażby jedną z potężnych bram, przecinających w pewnych odstępach linię fos i szańców. Najsurowszy zakaz, wydany strażom, nie przepuści cię dalej. Trzeba zatrzymać się na przedmieściu. Do „stalowego miasta“ wejdziesz tylko w takim razie, jeżeli znasz słowa magicznego zaklęcia, albo hasło, albo przynajmniej posiadasz do tego upoważnienie ostemplowane, podpisane i sformułowane jak się należy.

Upoważnienie to posiadał zapewne młody robotnik, który przybył do Stahlstadtu pewnego wieczora w listopadzie; pozostawiwszy bowiem w oberży małą zużytą walizkę skórzaną, udał się pieszo ku bramie, znajdującej się nieopodal wioski.

Był to chłop tęgi, silnie zbudowany, ubrany niedbale, jak zwykle pionierowie amerykańscy; miał na sobie luźny krótki płaszczyk, wełnianą koszulę bez kołnierza, i aksamitne spodnie, wepchnięte do wielkich butów. Nasunął na oczy wielki swój pilśniowy kapellusz, jak gdyby dla zasłonięcia twarzy, pokrytej węglowym kurzem, i szedł krokiem elastycznym, pogwizdując z cicha.

Stanąwszy u bramy, młody człowiek pokazał naczelnikowi odwachu drukowany papier, i został wpuszczony natychmiast.

— Na karcie twojej jest adres nadzorcy Seligmann'a, oddział K, ulica IX, pracownia 743 — rzekł podoficer — pójdziesz tą drogą, na prawo, aż do słupa K i przedstawisz się odźwiernemu... Znasz regulamin? Zostaniesz wypędzony, jeżeli udasz się do innego oddziału — dodał w chwili, kiedy młody człowiek oddalał się.

Ten ostatni udał się we wskazanym sobie kierunku i szedł drogą idącą dokoła miasta. Na prawo kopano fosę, ponad którą przechadzały się straże. Na lewo, między szeroką drogą a masą zabudowań, biegła podwójna linia kolei żelaznej obwodowej; dalej wznosił się drugi mur, podobny do muru zewnętrznego, i ten zarysowywał kształty „stalowego miasta“.

To ostatnie miało figurę koła, którego wycinki, niby promienie ograniczone linią fortyfikacyjną, zupełnie były niezależne od siebie, chociaż wspólna fosa i wspólny mur opasywały je wszystkie razem dokoła.

Młody robotnik zatrzymał się wkrótce u słupa K, stojącego na brzegu drogi, naprzeciw wielkiej bramy, nad którą wyryta była także litera na kamieniu, i przedstawił się odźwiernemu.

Tym razem zamiast żołnierza miał przed sobą inwalida o drewnianej nodze, z medalami na piersiach.

Inwalid popatrzał na papier, położył na nim nową pieczęć i rzekł:

— Prosto przed siebie. Dziesiąta ulica na lewo.

Młody człowiek przebył tę drugą linię oszańcowaną i znalazł się nakoniec w oddziale K. Droga, poczynająca się od bramy, była osią jego. Po obu stronach ciągnęły się pod kątem prostym szeregi jednostajnych buynków.

Hurkot maszyn był tu ogłuszającym. Szare budynki, podziurawione tysiącami okien, podobne były raczej do żywych potworów, aniżeli do martwych rzeczy. Ale nowo przybyły musiał być oswojony z podobnym widokiem, bo nie zwrócił nań najmniejszej uwagi.

W pięć minut odnalazł ulicę IX, pracownię 743, i wszedłszy do bióra, pełnego tek i rejestrów, stanął przed nadzorcą Seligmann'em.

Ten wziął papier zaopatrzony w potrzebne podpisy, sprawdził je i podnosząc oczy na młodego robotnika, zapytał:

— Umówiony jako pudler?... *) Zdajesz się być bardzo młody?

— Wiek nic nie znaczy — odpowiedział tamten. — Będę miał wkrótce dwadzieścia sześć lat i pełniłem ten obowiązek przez siedm miesięcy już... Jeżeli pan sobie życzy, to mogę mu pokazać świadectwa, na mocy których byłem umómiony w New-York przez dyrektora zakładu.

Młody człowiek dość biegle mówił po niemiecku, ale z pewnym akcentem, który zdawał się budzić nieufność w nadzorcy.

— Czy jesteś Alzatczykiem? — spytał go.

— Nie, jestem Szwajcarem... z Schafhuzy. Oto moje papiery; wszystkie w porządku.

To mówiąc, wydobył ze skórzanego pugilaresu pasport, książeczkę, świadectwa.

— Dobrze. Zresztą jesteś już umówiony i pozostaje mi tylko wskazać ci miejsce — rzekł Seligmann, uspokojony widokiem rządowych dokumentów.

Zapisał nazwisko: Johann Schwartz, najprzód w swoim rejestrze, potem na kontrakcie robotnika; wręczył młodemu człowiekowi niebieską kartkę z jego nazwiskiem, wymienionem pod numerem 57,938 i dodał:

— Co rano o godzinie siódmej musisz być u bramy K; pokażesz tę kartę, która pozwoli ci

*) tonna = 1000 kilogr.

(*) Pudler; *pudlingarnie* czyli piece płomieniste; *pudlowanie* czyli *metoda angielska;* wszystkie te nazwy pochodzą od imienia wynalazcy Corta Pudlinga. (przyp. tłum.)

przebyć zewnętrzny obwód, weźmiesz w izdebce odźwiernego znaczek obecności z wpisowym numerem twoim i pokażesz mi go, przybywszy tutaj. O siódmej wieczór, wychodząc, wrzucisz ten znaczek do puszki, znajdującej się koło drzwi pracowni; o tej godzinie tylko puszka ta jest otwarta.

— Znam system.. Czy można mieszkać wewnątrz obwodu? — zapytał Schwartz.

— Nie. Musisz wystarać się o mieszkanie po za obrębem miasta, ale będziesz mógł za tanią cenę stołować się w garkuchni przy pracowni. Będziesz pobierał dolara jednego dziennie na początek. Co trzy miesiące płaca ta podwyższy się o jedną dwudziestą część. Jeden tylko rodzaj kary mamy: odprawę. Za wszelkie naruszenie regulaminu karę tę nakładam ja sam, jako pierwsza instancja; apelować można do inżyniera. Czy dzisiaj rozpoczniesz?

— Dlaczego nie?

— To będzie tylko pół dnia — zauważał nadzorca prowadząc Schwartz'a ku wewnętrznej galerji.

Obaj minęli szeroki kurytarz, przeszli dziedziniec i wstąpili do obszernej galerji, która tak z rozmiarów swoich jak z lekkiej budowy przypominała debarkader jakiegoś pierwszorzędnego dworca. Mierząc go okiem, Schwartz nie mógł się wstrzymać od podziwu.

Po obu stronach tej długiej galerji ciągnęły się dwa szeregi ogromnych walcowatych kolumn, tak szerokich i tak wysokich jak kolumny świętego Piotra w Rzymie; kolumny te wznosiły się aż do sklepienia szklannego, które przebijały na wylot. Były to kominy płomienistych pieców, pudlingarni murowanych u spodu. Było ich pięćdziesiąt w każdym szeregu.

W jednym końcu galerji, lokomotywy przywoziły wagony, pełne sztab surowca, który zasilał piece; z drugiej strony próżne wagony zabierały i odwoziły tenże surowiec, zamieniony na stal.

Pudlingowanie dopełniało tej zamiany. Na wpół nadzy cyklopi, uzbrojeni w długie żelazne haki, czynnie się tem zajmowali.

Sztaby surowca wrzucano do pieców, wysłanych żuzlem, i poddawano je bardzo wysokiej temperaturze. Gdyby chodziło o wydobycie żelaza, w takim razie przystąpionoby natychmiast do wyrabiania surowca, jak tylko ten stanie się ciastowatym. Chcąc jednak dostać stal, ten węglik żelaza, tak podobny do niego a wszakże tak różny co do własności swych, czekano, aż surowiec stanie się płynnym i wówczas podwyższano temperaturę w piecach. Jednocześnie pudler hakiem swoim zaczynał poruszać i wyrabiać płynny metal wśród płomienia; potem w chwili, kiedy roztopiony metal pomięszawszy się z żuzlem, nabywał pewnego stopnia gęstości, dzielił go na cztery bryły, czyli gąbczaste „lupy" i podawał je pomocnikom kowalskim.

Następna czynność odbywała się na samej osi galerji. Naprzeciw każdego ogniska znajdował się należący do niego bijący młot, poruszany parą wydobywającą się z kotła pionowo umieszczonego w samymże kominie. Przy młocie stał robotnik kowal. Uzbrojony od stóp do głowy, w butach i naramiennikach z blachy żelaznej, z grubym skórzanym fartuchem i maską z siatki metalicznej na twarzy, ten kirasjer przemysłu, końcem długich swych obcęgów chwytał rozpaloną lupę i kładł ją pod młot. Ten całym swoim ogromnym ciężarem spadał na nią i znowu się podnosił i znowu opadał, wyciskając z lupy jak z gąbki wszystkie materje nieczyste, które była w siebie pochłonęła; deszcz iskier sypał się i bryzgał na wszystkie strony.

Kirasjer oddawał wreszcie lupę pomocnikom; wracała do pieca, tam ogrzana znowu szła pod młot.

W olbrzymiej, potwornej kuźni panował ruch bezustanny; kaskady rzemienia wiły się bez końca, głuche ciosy młota składały się na jeden przeciągły huk; czerwone iskry wiązały się w snopy ogni sztucznych; piece rozpalone do białości olśniewały oczy. Wsród tego pasowania się i ryku materji ujarzmionej, człowiek wyglądał prawie jak dziecko.

A jednak tęgie to były chłopy, te pudlery! W zwrotnikowej temperaturze rozrabiać metaliczne ciasto ciężaru dwóchset kilogramów, godzin kilka trzymać oczy utkwione w rozpalone żelazo, które oślepia blaskiem swoim, jest to rzecz straszna, zużywa ona człowieka w lat dziesięć.

Schwartz, jak gdyby dla pokazania nadzorcy, że w stanie był dokonać tego, zrzucił swój płaszczyk i wełnianą koszulę, i tak ukazawszy atletyczną budowę ciała swego, wziął hak od jednego z pudlerów i zaczął pracować.

Widząc, że bardzo dobrze spełnia swe zadanie, nadzorca pozostawił go wkrótce i wrócił do biura swego.

Młody robotnik pudlował bryły surowca aż do obiadu. Ale czy to, że za wiele zapału przykładał do roboty, czy też że rana tego nie przyjął był pożywnego pokarmu, jakiego wymaga podobne zużycie siły fizycznej, dość że wkrótce zdawał się być zmęczonym, a to do tego stopnia nawet, że nadzorca robotników spostrzegł to.

— Niezdolny jesteś do pudlowania, mój chłopcze — rzekł do niego — i lepiej zrobisz, jeżeli poprosisz, by cię przeniesiono do innego oddziału, na co poźniej nie pozwolonoby ci już wcale.

Schwartz zaprzeczył temu. Było to tylko chwilowe zmęczenie! Mógł pudlować tak jak inni.

Pomimo to, dozorca zawiadomił o tem kogo należało, i młody człowiek natychmiast został wezwany do naczelnego inżyniera.

Ten przepatrzył jego papiery, pokiwał głową i zapytał tonem badawczym:

— Czy byłeś pudlerem w Brooklyn?

Schwartz spuścił oczy z miną pomieszaną.

— Widzę, że muszę się przyznać — rzekł Byłem używany do lania, a teraz dla powiększenia płacy mojej, chciałem spróbować pudlowania!

— Wszyscy jesteście podobni do siebie! — odpowiedział inżynier, wzruszając ramionami. — Mając lat dwadzieścia pięć, chcecie umieć to, co rzadko który trzydziestoletni człowiek robić może!... Czy dobrze przynajmniej znasz się na odlewaniu?

— Od dwóch miesięcy byłem w pierwszej klasie.

— W takim razie lepiejbyś zrobił, gdybyś był pozostał na miejscu! Tutaj rozpoczniesz od tego, że wejdziesz do trzeciej klasy. I to jeszcze możesz uważać się za szczęśliwego, że pozwalam ci zmienić oddział!

Inżynier napisał słów kilka na przepustce, wyprawił depeszę i rzekł:

— Oddaj swój znaczek, wyjdź ztąd i udaj się do oddziału O, do biura naczelnego inżyniera Ten już jest uprzedzony.

Te same formalności, jakie zatrzymywały były Schwartza przed bramą K, powtórzyły się przed oddziałem O. Tam również rozpytywano go najprzód, potem przyjęto, wreszcie odesłano do sali odlewów. Tutaj praca odbywała się ciszej i metodyczniej.

— Jest to tylko mała galerja do wylewania sztuk Nr. 42 — rzekł do niego nadzorca. — Tylko robotnicy pierwszej klasy mają wstęp do sal, gdzie wylewają się wielkie działa.

Mała galerja miała jednak sto pięćdziesiąt metrów długości a sześćdziesiąt pięć szerokości Musiało w niej być, jak się zdawało Schwartz'owi, przynajmniej sześćset tyglów, umieszczonych po cztery, po ośm i po dwanaście, stosownie do swej wielkości, w pobocznych piecach.

Formy, do których miano wlewać roztopioną stal, ułożone w głębi rowu idącego środkiem, spoczywały na osi galerji. Z każdej strony rowu, po linii relsów, przesuwała się ruchoma maszyna, której przeznaczeniem było dźwigać z miejsca na miejsce ogromne te ciężary. Tak jak w pudlingarni, z jednej strony kolej żelazna przywoziła bryły stopionej stali, z drugiej wywoziła działa wyjęte z form.

Przy każdej formie człowiek z prętem pilnował temperatury roztopionego metalu w tyglach.

To co Schwartz widział już był gdzieindziej, powtarzało się tutaj, ale doprowadzone było do wysokiego stopnia doskonałości.

Kiedy nadeszła chwila wylewania, dzwonek oznajmił o tem, dając sygnał wszystkim tym, co doglądali topiącego się metalu. Zaraz potem robotnicy równego wzrostu idący parami i niosący pionowo na ramionach swych żelazne drągi, krokiem równym i ściśle mierzonym, zbliżali się do pieców i po dwóch stawali pod każdym z nich.

Oficer, uzbrojony w świstawkę, z chronometrem oznaczającym sekundy w ręku, stawał przy formie, stosownie umieszczonej w pobliżu wszystkich pieców palących się. Z każdej strony znajdowały się rynny z cegły ogniotrwałej, pokrytej blachą żelazną; szły one po łagodnej pochyłości aż do miednicy, mającej kształt lejka a umieszczonej ponad samą formą. Komenderujący dawał sygnał świstawką. Natychmiast wyciągano obcęgami z ognia tygiel i zawieszano go na drągu żelaznym dwóch robotników, stojących przed pierwszym piecem. Świstawka zaczynała wówczas przygrywać, i dwaj robotnicy pod takt tej muzyki wylewali metal z tygla do odpowiedniej rynny. Potem wrzucali do kadzi próżne i rozpalone naczynie.

Bez przerwy, tylko w przestankach ściśle wymierzonych, ażeby wylew odbył się jak najrówniej i najregularniej, robotnicy stojący przy innych piecach, postępowali tak samo zupełnie jedni po drugich.

Dokładność ruchów była przytem tak nadzwyczajna, że w dziesiątej sekundzie, przeznaczonej na ruch ostatni, ostatni tygiel został wypróżniony i wrzucony do kadzi. Cała ta czynność zdawała się być raczej rezultatem ślepego mechanizmu, aniżeli następstwem połączonych stu ludzkich usiłowań.

*

Ścisła karność, siła przyzwyczajenia i potęga muzycznego rytmu dokonywały jednak cudu tego.

Schwartz zdawał się być oswojony z tym widokiem. Postawiono go do pary z robotnikiem jego wzrostu, wypróbowano umiejętności jego w wylewie mniejszego znaczenia i uznano za doskonałego robotnika. W końcu dnia, jego dozorca obiecał mu nawet szybki awans.

Wyszedłszy o godzinie siódmej wieczór z oddziału O i z zewnętrznego obwodu, Schwartz udał się po walizę swoją do oberży. Potem zwrócił się w stronę, gdzie rano zauważył był grupę domów, i z łatwością wynalazł kawalerskie pomieszkanie u pewnej poczciwej kobiety, która „trzymała lokatorów„

Ale młody ten robotnik nie poszedł jak inni po wieczerzy do piwiarni. Zamknął się w swoim pokoju, wyjął z kieszeni kawałek stali, którą zapewne podniósł był w pudlingarni, i odłamek gliny od tygla, znaleziony w oddziale O; potem przypatrywał się im ze szczególną pilnością, przy świetle kopcącej lampy.

Następnie wziął z walizy gruby oprawny zeszyt i napisał co następuje w dobrej francuszczyznie, ale dla większej ostrożności tajemnem pismem, do którego klucz sam tylko posiadał:

„10. listopada. — Stahlstadt. — Nie ma nic szczególnego w sposobie pudlowania, z wyjątkiem — ma się rozumieć — kombinacji dwóch różnych temperatur, stosunkowo niskich do pierwszego pieca i dla powtórnego rozpalania, podług prawideł wskazanych przez Chernoff'a. Co do lania, to ostatnie odbywa się podług sposobu Krupp'a, ale z prawdziwie godną podziwienia dokładnością i równością ruchów. Dokładność ruchów jest wielką siłąNiemców. Pochodzi ona z wrodzonego rasie germańskiej muzykalnego czucia. Nigdy Anglicy nie dojdą do tej doskonałości: braknie im ucha, jeżeli nie karności. Francuzi z łatwością mogą dojść do tego, oni, co są pierwszymi tancerzami na świecie. Jak dotąd nie widzę zatem nic taje mniczego w wielkiem powodzeniu tych wyrobów. Kawałki rudy, które znalazłem był w górach, zupełnie są podobne do naszej dobrej żelaznej rudy. Próbki węgla kamiennego są w istocie bardzo piękne, i gatunek ich jest w wysokim stopniu metalurgiczny, ale i tu także niespostrzegam nic nieprawidłowego. Nie ma wątpliwości, że fabryka Schultze'go szczególnych dokłada starań, by te pierwotne materje oczyścić ze wszelkich obcych przymieszków i używa ich tylko w stanie doskonałej czystości. Ale i do tego rezultatu dojść łatwo. A zatem, chcąc poznać wszystkie elementa zagadnienia, pozostaje mi tylko określić skład glinki ogniotrwałej, z której zrobione są tygle i rynny. Kiedy to się wyjaśni i nasi giserzy stosownie wykształcą się i wprawią, nie widzę dlaczegobyśmy nie mieli robić tego, co się tu robi! Ale, bądź co bądź, dotąd widziałem tylko dwa oddziały, a jest ich przynajmniej dwadzieścia cztery! Co oni tam knują w tej jaskini? Jakżeż przyjaciele nasi niemają obawiać się tych gróźb, które Herr Schultze wyrzekł, odziedziczywszy połowę owego spadku.“

Dumając tak, Schwartz dosyć zmęczony przebytym dniem, rozebrał się, wsunął do małego łóżeczka, niewygodnego o tyle, o ile tylko mogą być niewygodne niemieckie łóżka — co już dość powiedzieć — zapalił fajkę i zaczął czytać starą książkę. Ale myśl jego była gdzie indziej. Małe kłęby pachnącego dymu wymykały się z ust w równych odstępach czasu z odgłosem: „Pach!... Pach!... Pach!... Pach!...“

Położył wreszcie książkę i zamyślił się, jak gdyby pracując nad rozwiązaniem jakiegoś trudnego zadania.

— Ach! — zawołał — nakoniec chociażby sam szatan wmieszał się w to, odkryję tajemnicę Herr Schultze'go, a nadewszystko dowiem się, co on knuje przeciwko Francji - Miastu!

Schwartz usnął, wymawiając imię doktora Sarrasin'a; ale we śnie imię Joanny wróciło mu na usta. Wspomnienie dziewczynki pozostało niezmiennem, chociaż Joanna od chwili, kiedy ją pożegnał, stała się już młodą panną. Zwykłe prawa asocjacji myśli łatwo tłumaczą to zjawisko; myśl o doktorze zawierała w sobie myśl o córce jego, była to zatem assocjacja myśli bliskich sobie. To też kiedy Schwartz, a raczej Marceli Bruckmann obudził się z imieniem Joanny na ustach, nie zdziwił się temu wcale, upatrując w tem nowy tylko dowód doskonałości psychologicznych zasad Stuart'a Mill'a. (C d. n)

Kronika Tygodniowa.

(List w sprawie teatru polskiego w Poznaniu. Nowa rada miejska. Sprawa gimnazjum czwartego t. z. „skompromitowanego“. Teatr. Reduta niedzielna. Aforyzmy o biedzie.)

Od jednej z osób zajmujących w Poznaniu pierwszorzędne stanowisko, otrzymujemy na zapytanie w sprawie teatru polskiego następujące pismo:

Poznań, 26. stycznia 1880.

Szanowni Panowie!

Na pismo Sz. Panów z dnia 24. b. m. mam zaszczyt odpowiedzieć co następuje:

Nie będę się rozwodził, jak ważną instytucją dla nas jest teatr, jako jedyne przytulisko języka polskiego, zewsząd wypartego i jako zresztą odczynnik na germanizowanie nas przez dwa tutejsze teatra niemieckie, z których jeden subwencjonowany jest ze szkatuły cesarskiej i z funduszów komuny, nie mówiąc już o tem, że dyrektor jego ma go darmo i za garderobę i tp. rzeczy nie płaci. Powiem wam Sz. Panowie tylko, że utrzymanie naszego teatru jest niesłychanie ważną rzeczą — a to się stać może przez subwencjonowanie takowego. Fundusz zatem Kraszewskiego zbiera się przedewszystkiem na ten cel. Są wprawdzie jeszcze długi budowlane, ale w ciągu lat dwóch spłaciło się ich przeszło dwadzieścia pięć tysięcy marek; — pozostaje jeszcze blisko sześć tysięcy marek, których dlatego tylko nie spłaca się, że wierzyciele roszczą pretensje o więcej i toczą o to procesa. Jestem przekonany, że nic nie wygrają, dlatego pretensje ich uważam za żadne i dług budowlany obliczam na blisko sześć tysięcy marek. Zebrało się zaś na fundusz Kraszewskiego, poczynając od 27. września marek czternaście tysięcy, mamy więc przeszło, po potrąceniu długów, ośm tysięcy marek.

Przyznacie Panowie, że na subwencjonowanie teatru jest to niczem, boć przynajmniej, aby teatr szedł jak należy, aby robił swoje, trzeba dać rocznie sześć tysięcy marek, czyli dwa tysiące rubli. Pomoc więc wszystkich rodaków jest konieczną, jeśli instytucja ta ma być stałą, a nie z dnia na dzień, jak obecnie. Trzeba zebrać tyle, żeby kapitał dawał subwencją. Ja, który głównie instytucją tą zajmuję się, mam nadzieję, że kwota ta zbierze się, inaczej musiałbym przestać wierzyć w jedność i solidarność nietylko uczuć, aspiracji ale i interesów polskich. Zresztą mam już dowody, że rodacy nasi uznają ważność i doniosłość dla nas, a raczej w naszych stosunkach, teatru i spieszą z pomocą. I tak Jubilat przybędzie tu z pewnością z dwoma odczytami; pani Modrzejewska występuje sześć razy i całą swą gażę za te sześć występów przekazała na fundusz Kraszewskiego. Przyniesie to co najmniej tysiąc talarów. U nas też mimo biedy i nędzy o funduszu tym nie zapominają, i albo datki szczegółowe nadsyłają, lub ogólne, z zabaw na ten cel uzyskanych, nadsyłają. Mam też prawie przyrzeczone, że rząd moskiewski pozwoli zbierać składki na ten cel w Kongresówce i na Litwie. Skoro zaś Sz. Panowie, wchodząc w położenie tu żywiołu polskiego i znaczenie dla niego teatru, w którym mowa polska może się rozlegać, przyłożycie szczerze rękę do tego narodowego dzieła, to cała ta sprawa będzie w pożądany sposób załatwioną. A wierzę, że przyłożycie, bo waszem to dziełem wszystko co od was dotąd na fundusz ten wpłynęło, waszem dziełem i całą waszą zasługą i zabawa jaką na cel ten urządzacie. Oceniamy to, wierzcie, w całej pełni i z całej duszy wam wdzięczni jesteśmy, a cieszy nas niewymownie, że Polska czuje się zawsze całą. Nie potrzebuję wam też dodawać, że cokolwiek w tym interesie dla nas uczynicie, zrobicie to właściwie nie dla nas, ale dla matki naszej wspólnej — Polski, którą tu kochamy z całej duszy, której praw i świętości bronimy — ale doprawdy, choć miłość i energja wielka, jednak siły za małe, a nawał germanizmu za wielki a ciężki; pomóżcie nam zatem i pomagajcie, a wściekłość i nikczemność i zaciętość wrogów nic nie dokaże. Oto — szczegóły, jakich Sz. Panowie żądaliście — do czego dodam, że postawienie teatru kosztowało wraz z placem i frontową nieruchomością 160 tysięcy talarów, złożonych ofiarnością tutejszych a i waszą Panowie, bo i Galicja znaczną przed ośmiu laty na to kwotę złożyła.

Co do Kongresówki i Litwy, to wyrobieniem pozwolenia od rządu moskiewskiego na składki, mają się zająć dziennikarze warszawscy i inne tam wpływowe osoby.

Tu, ja nie przestanę się zajmować tą sprawą, dopóki trwałego bytu scenie nie zapewnię. Ale nam tu ciężko, a więc po dawnemu: *unitis viribus* a stanie się tak, jak być powinno i pragniemy.

Pozwólcie mi wreszcie, bym w imieniu Wielkopolan, których jestem w tej sprawie szczerym wyrazem, przesłał wam braterskie podziękowanie za to coście już zrobili i zrobicie“.

* *

— Panowie! „Łączność i Zgoda“! Wszak Panowie zawsze za zgodą, za łącznością! Proszę tu jest lista!

— Szanowny Obywatelu! „Prawość i rozsądek“! Co tam łączność! Czy wiesz z kim ci się łączyć każą i z kim godzić? Idź za prawością i rozsądkiem — proszę! jest lista.

— Śmiej się z tego wszystkiego. Tu masz listę neutralnych. Tamto wszystko koterje. Niech żyje neutralność!

— Ależ obywatelu szanowny — wszak zawsze głosowaliśmy solidarnie za wskazówką

naszego komitetu, na ratuszu wybranego, dla czegożby teraz miało być inaczej? Masz listę komitetu — niech żyje solidarność!

— A dziennikarstwo to niby nic? Oto lista ułożona przez dziennikarzy, popierana przez *Gazetę Narodową i Dziennik Polski* — głosuj za nią! Wszak dziennikarstwo zawsze nam przewodniczyło i torowało drogę!

— Masz listę komitetu? dobrze! Ale widzisz na niej pana A. i p. B. i p. C., którzy być nie powinni, a p. X. i p. Y. i p. Z. także powinni być usunięci. Masz tu *poprawioną* listę komitetu -- głosuj na nią!

Możecie sobie wyobrazić, co się działo biednemu wyborcy, gdy przeszedł przez taki ogień agitacyjny — gdy mu na każdem piętrze i w każdym korytarzu ratuszowego gmachu z takiemi i podobnemi przemowami pchano w ręce po kilka egzemplarzy list kandydatów, i gdy w końcu musiał dać głos na 100 mężów zaufania, którzy przez trzy lata zajmować mają kurulskie krzesła w sali radnej naszej stolicy!

Agitacja szła tak gorąco, jak dawno nie pamiętamy — pod ratuszem przychodziło nawet do bójek pomiędzy agitatorami. Udział w głosowaniu był bardzo liczny — gdy bowiem przed trzema laty głosowało tylko 1600, w poniedziałek było przeszło 2.600 głosujących. Rezultatem zaś głosowania — o ile on na prędce dał się sprawdzić — jest niewątpliwa większość listy pod hasłem „łączność i zgoda“. Wynik to ze wszech miar oryginalny. Zwycięstwo tej listy jest wprost *obniżeniem poziomu inteligencji w naszej reprezentacji miejskiej*. W dotychczasowej radzie zasiadało 58 członków, należących do takich zawodów, które wymagają wyższych studjów, a 42 innych — na zwycięzkiej liście kandydatów jest stosunek ściśle odwrotny: liczba pierwszych zmalała do 42, drugich wzrosła do 58. A i z tych drugich w miejsce wielu światłych, doświadczonych, ze sprawami miejskiemi dobrze obznajomionych mieszczan, weszły żywioły znacznie niższej wartości intelektualnej.

Kto zaś temu winien? Naszem zdaniem głównie ci, którzy widząc niebezpieczeństwo, uznając bardzo wadliwy układ listy pod hasłem „łączność i zgoda“ — sami między sobą rozbili się na liczne kółka i koterje. Że lista komitetowa nie była idealnie dobrą, że z niej można było wykreślić nie jedno nazwisko — któż zaprzeczy? Ale jeżeli gdzie, to w politycznych sprawach „lepsze jest nieprzyjacielem dobrego“ toż należało agitować za pewnem poprawieniem komitetowej listy, zamiast ją podkopywać, zamiast przeciw niej działać i z osobnemi listami występować. W ten sposób poważne mieszczaństwo i inteligencja rozbiły się, a korzyść odniosło krzykactwo...

Nowa rada miejska znajdzie się w trudnem położeniu w obec haseł, jakich do jej wyboru użyto. Mówiono o podniesieniu przedmieść, takiem jak śródmieścia, mówiono o oszczędności, i potępiano pożyczkę. Radzibyśmy też wiedzieć, jak się uda oszczędzając i unikając pożyczki, jednak przedmieścia zaopatrzyć w bruki, chodniki, gazowe oświetlenie, ozdobić skwerami i t. p. Jest to zadanie nieco do rozwiązania trudne.

* * *

Sprawa kompromitująca czwartego gimnazjum we Lwowie nie została jeszcze załatwioną. Istny to dziwoląg to postanowienie grona nauczycielskiego, tembardziej że zupełnie niespodziewane i tak dla wszystkich przykre. Postanowiono tam jak wiadomo wykładać raz na tydzień *każdy* przedmiot po jednej godzinie w języku niemieckim. Jako motywa tego zaprowadzenia podano, że tą drogą lepiej zdołają sobie uczniowie przyswoić język niemiecki. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niestosownego pod względem pedagogicznym. Co się dziać będzie w biednej głowie dziecka przy takiem zamieszaniu. I Rada szkolna zgodziła się na to! Szczęściem że miasto ma jeszcze w swojem ręku prawo rozstrzygania o języku wykładowym i że już porobiła kroki, aby ten zapał inicjowany przez p. dyrektora Hückla powstrzymać.

* * *

W teatrze pokazało się nieco ożywienia. Przedewszystkiem przyszła pora benefisów, a mała garstka prawdziwych miłośników teatru, zbiera się zwykle w komplecie na przedstawienie benefisowe, aby dać wyraz uznania pracy swoim ulubieńcom. To też jakoś i w krzesłach i w lożach bywało ostatniemi czasy dosyć pełno. W dodatku, benefisy wyciągają na arenę nowe sztuki i to stanowi magnes przyciągający. Pan Zamojski wybrał sobie „komedję pomyłek“ Szekspira, a p. Lubicz nową sztukę Edw. Lubowskiego „Przesądy.“ Bliższą ocenę tych sztuk i gry artystów poda nasz recenzent teatralny na innem miejscu. Na dalszy szereg benefisowy przygotowane są różne inne niespodzianki, a między innemi „Kupiec wenecki“, którego grać będzie p. Gustaw Fiszer. O tym przedstawieniu jedną rzecz można z góry powiedzieć, że Shylock będzie oryginalnym, i ciekawiśmy bardzo w jakiej formie da nam p. Fiszer poznać tę postać, zwykle grywaną przez tragików.

We środę dają „Niepoprawnych“ Słowackiego na korzyść p. Marcelego Zboińskiego, a p. Ładnowski przygotowuje na swój benefis Antoniusza i Kleopatrę.

„Pani podkomorzyna“ komedja Zaleskiego Kazimierza nadeszła już do Lwowa.

W operze także ruch nie mały. Na miejscu Włochów mamy prawie same siły polskie.

Od dawna już znani naszej publiczności p. Dowiakowska i p. Cieślewski, ściągają licznych słuchaczy do amfiteatru.

Wygląda to tak, jakby znowu miały nadejść lepsze czasy dla teatru...

Reduta jutrzejsza na teatr poznański, będzie taką, jakiej u nas nie bywało. Cały amfiteatr już dawno rozsprzedany.

* * *

Daily Telegraph powiada, że los dyrektora i przedsiębiorcy teatru, nie jest godnym zazdrości, jeżeli się weźmie pod rozwagę proces, wytoczony przez literata paryskiego p. Grandsagne dyrektorowi opery p. Vaucorbeil w Paryżu. P. Grandsagne kupił lożę na przedstawienie *Favority* Donizettego, i zapłacił za nią 48 franków. *Afisz* zapowiadał gołosłownie przedstawienie *Favority*. Tymczasem, obcięto operę nielitościwie, a między innemi opuszczono wielką arję w scenie VI. P. Grandsagne, czując się pokrzywdzonym z tego powodu, domaga się od p. Vaucorbeil, ażeby mu za jego pieniądze, już wypłacone, dał przedstawienie *całej* opery, jaką napisał Donizetti, albo też, jeżeli tego nie chce, ażeby mu zwrócił 48 fr. za lożę, 500 fr. za stratę czasu i ujmę spodziewanej przyjemności, etc. etc. razem 1600 franków.

Trybunał cywilny wziął ten pozew na serjo, i mimo współczucia, jakie *Daily Telegraph* wyraża dla dyrektorów, reżyserów, aranżerów i przerabiaczy sztuk dramatycznych itp. musimy wyznać, że sympatyzujemy z p. Grandsagne, i że jurydycznie, przyznajemy mu słuszność. Jeżeli dyrekcja teatru przedstawia nie *całe dzieło* kompozytora, ale tylko jakąś okrojoną przeróbkę, to niechaj to zapowie w afiszu, a każdy będzie wiedział, za co płaci. W przeciwnym razie tj. jeżeli zapowiedziano całość dzieła, należy się każdemu słuchaczowi albo całość przedstawienia, albo też zwrot pieniędzy i wynagrodzenie szkód poniesionych.

* * *

Kilka zdań do rozpamiętywania na czas karnawału i głodu...

Niewielu jest takich, którzy się bawić mogą. Więcej takich, którzy do ust nie mają co włożyć, a jeszcze więcej, co w ciężkich chwilach naszego żywota o zabawie myśleć nie mogą...

Niech im na pocieszenie posłuży tych kilka zdań mędrców, które przytaczamy. Szczególniej polecamy słowa Foxa — bo w nich prawdy najwięcej.

Zacznijmy od poety-filozofa:

Ludzie majętni tylko o tyle mogą sie uważać za ubezpieczonych, o ile dostarczają innym możności do istnienia.

Goethe.

Przekleństwo nędzy zawiera się w tem, że to wszystko, co wyraża uczucie własnej godności, wydaje się jej tylko dumą, pretensją i śmiesznością.

Hebbel.

Trudna rzecz myśleć szlachetnie, gdy się myśli tylko o tem, z czego żyć.

Rousseau.

Przekleństwo biedy zawiera się w tem; że wszystkie jej postępki, choćby wywołane były największą bezstronnością, przypisują się nizkim popędom.

Bodenstedt.

Nie powinniśmy wcale dziwić się tem, że logika człowieka bogatego, broniącego praw własności, wydaje się wcale nieprzekonywającą dla biednego, słuchającego płaczu swych głodnych dzieci.

Macaulay.

Znamy wpływ nieszczęścia. Wiemy, że człowiek rozsądny staje się pod wpływem biedy rozdrażnionym, nierozsądnym, łaknącym natychmiastowej ulgi, obojętnym na to, co później ma nastąpić.

Macaulay.

Idźcie, apostołowie uczciwego i skromnego dobrobytu, idźcie do kopalń, do młynów, do kuźni, w najgłębsze czeluście ludzkiej ciemnoty i w straszną przepaść ludzkiego niedbalstwa, i powiedźcie, jaka beznadziejna roślina może wyrość w tem zgniłem powietrzu, gaszącem jasną pochodnię duszy, zaledwie w niej wybuchnie iskra światła. O wy faryzeusze dziewiętnastego wieku, wy głośno modlący się do ludzkiej natury, postarajcie się przedewszystkiem o to, żeby był *człowiek*. Baczcie, aby przez czas waszej drzemki i przez czas snu tylu pokoleń, nie zamienił się w dzikie zwierzę.

Dickens.

Nie od ludzi z dostatecznym, lub znacznym majątkiem można się spodziewać energii i ducha przedsiębiorczego. Ludzka natura zbyt ceni nagrodę, aby nie zwróciła szczególniejszej uwagi na środki jej zdobycia. Najważniejsze i najgodniejsze państwowe usługi, oddawali wszędzie ludzie pozbawieni bogactwa. *Fox.*

Dawajcie jałmużnę, lecz jeśli można oszczędźcie niemającemu, wstydu wyciągania ręki. *Diderot.*

Każdy występek ma swe źródło w bezczynności a każdy nieporządek społeczny wypływa z braku zajęcia.

P. L. Conrrier.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Pisma Henryka Sienkiewicza T. I. (Stary sługa. Hania. Szkice węglem Janko muzykant), Warszawa 1880.

(Dokończenie)

Szkice węglem wywołało nowe położenie, w którem się znalazła wieś nasza po uwłaszczeniu chłopów i zaprowadzeniu samorządu gminnego. Wieśniak ciemny nie znający ani praw ani urządzeń nowych; dawny dziedzic zajęty swojemi kłopotami, strwożony, usuwający się od spółudziału w naradach i skąpiący światełka swego rozumu dla dobra ogółu, ksiądz, który dbając tylko o zbawienie wieczne swojej owczarni nie chce się wtrącać w ich zbawienie doczesne; pisarz gminny zepsuty i wyzyskujący przewagę swojej inteligencji na rzecz namiętności osobistych: oto objawy, które niejednokrotnie dawały się dostrzegać i smutkiem przejmowały tych, co pragnęliby widzieć wszystkie serca i wszystkie dłonie przy pracy około dobra ogólnego. Objawy te uderzyły także serce i wyobraźnię autora *Hani;* napisał więc utwór, który przedewszystkiem miał zadanie publicystyczne do spełnienia, tj. wstrząśnięcie umysłów i wykazanie grzesznego indyferentyzmu i apatji; ale który w skutek siły talentu został równocześnie znakomitem dziełem sztuki. Niektóre braki artystyczne, jako to: wycieczki przeciw osobistościom, zbyt dosadny a raczej jaskrawy koloryt niektórych ustępów, grube rysy zamiast subtelnego cieniowania, były właściwie zaletami z punktu widzenia publicysty i w tym punkcie znajdują swoje wyjaśnienie. Ale stworzenie tak żywych postaci jak pisarz gminny Zołzikiewicz, butny i despotyczny w sposób brutalny względem włościan, usiłujący utrzymać swoję godność a nie czujący swego upokorzenia względem byłych dziedziców, zarozumiały, lubieżny, nikczemny i głupi; albo jak wójt, jak Rzepa a szczególniej Rzepowa, wystarczy, ażeby *Szkicom węglem* zapewnić miejsce zaszczytne w dziejach naszej powieści. Nawet postaci podrzędne są wykonane szkicowo wprawdzie, ale nie mniej plastycznie. Wyborny dziedzic szanujący swoją zasadę nieinterwencji i każący czekać biednej zgłodniałej kobiecie kilka godzin, ażeby jej zasadę tę wypowiedzieć. Wyborny jest ksiądz Czyżyk, który na kazaniu do poczciwych wieśniaków wyjaśniał dzieje średniowiecznej herezji Catharów i ostrzegał przed naukami fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, a na prośbę wieśniaczki, żeby jej poradził, co ma zrobić dla oswobodzenia swego męża od służby wojskowej, odpowiada: „nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci.“ Niemniej piękna jest sylwetka panny Józi z sercem dobrem i miękiem, bolejącem nad nieszczęściem biednej Rzepowej, ale nie mniej dbałej o rękawiczkę, którą poczciwa Rzepowa z wielkiej serdeczności całując ośliniła.

Jeżelibyśmy jednak mieli powiedzieć, w czem talent Sienkiewicza wzniósł się dotychczas najwyżej i doszedł prawdziwego niemal mistrzowstwa; to wymieniłbym malowanie uczuć miękkich, tkliwych i rzewnych. Jeżeli chcecie się o tem przekonać, przeczytajcie króciutkie jego utwory. *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* a szczególniej *Janko muzykant.* Przedmiotem uczuć średniowiecznych a tkliwych w obu tych utworach są dzieci. Jedno dla zadośćuczynienia życzeniom matki, która nie wymierzyła dostatecznie sił jego, męczy się nad gramatyką łacińską, pracuje nad zdobyciem wprawy w mowie obcej wykładowej i zrobieniem postępów w akcencie tej mowy. Z natury nerwowe i wrażliwe, gdy słyszy w szkole cudzoziemskiej obelgi miotane na takie rzeczy, które w domu za świętość poczytywano, gdy nie dostało dobrego stopnia z przedmiotów poczytywanych za główne; gdy nawet sprawowanie jego oczerniono: nie mogło wytrzymać nacisku tylu bolesnych wrażeń i zachorowało. Ale i w chorobie nie mogło zapomnieć o tem, co było życzeniem matki; wstawało jak miało zwyczaj dawniej, gdy było zdrowem, i uczyło się zapalczywie konjugacyj łacińskich. W tem passowaniu się dziecięcego ducha z napływającemi zewnątrz wrażeniami, w tem bojowaniu wspomnień domowych z uczuciami szkolnemi znajduje się tak głęboka tragika, że jej nie osłabia ani wiek dziecinny, ani błahość motywów przedmiotowo tylko rozważanych.

Bardziej jeszcze potęguje się to wrażenie przy czytaniu historji Janka. Skłonność do muzyki, niczem nie dająca się wystraszyć, popycha go do pokoju lokaja, w którym wisiały skrzypce, jedyny cel pożądań bosego, obdartego, chudego muzykanta. Schwytany jako złodziej, obity bez miłosierdzia, trzeciego dnia konał już na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem: „Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść... Wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana śpiewały: *oj na zielonej, na runi,* a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta. Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się a z bielejących warg wyszedł szept: — Matulu? Co synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy. Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki! Da ci, synku, da — odrzekła matka, ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z tej twardej piersi buchnęła wzbierająca żałość; więc jęknąwszy tylko: *O Jezu, Jezu,* padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania“...

W opisowość nie bawi się autor. I słusznie. Nudziła ona już nie jednokrotnie nie tylko u naszych i niemieckich powieściopisarzów, ale nawet u Balzaka. Poezja i powieść nie może sobie przywłaszczać pola, należącego właściwie do malarstwa. Dla niej potrzeba ruchu i akcji. Nie należy jednak ztąd wnosić, żeby w ogóle pominąć można zupełnie stronę opisową. Jest ona potrzebną o tyle, że stanowi niezbędną podstawę, na której postaci stworzone przez poetę ruszają się i działają. Jest też ona i u p. Sienkiewicza w sposób nadzwyczaj umiejętny zużytkowaną. Stanowi część wrażeń, jakich doznają ludzie, gdy w swojej, czy obcej siedzibie przebywają. Podobneż miejsce zajmuje oczywiście i natura. Autor *Hani* dalekim jest zarówno od czułostkowego zakochania się w przyrodzie jak i od suchego zapatrywania się na nią okiem inżyniera lub gospodarza w chwili, gdy właściwy im zawód wyłącznie ich zajmuje. Patrzy on na przyrodę trzeźwo i wie, że ona w rozmaitych usposobieniach różnie na nas oddziaływa; czasami lubujemy się jej pogodą, czasem rzewność nas opanowuje, czasem jej groza przeraża. Jako przykład pięknego opisu wsi i natury wiejskiej można przytoczyć ustęp, w *Hani,* kiedy Henryk z Selimem wracają z Warszawy do wsi rodzinnej Selima (str. 79, 80); jako piękny, choć szkicowy tylko obrazek wrażeń doznawanych wieczorem w lesie, wśród niepokoju oczekiwania i pewnej bojaźni wzmiankuję ustęp w powieści p. n. *Selim Mirza.*

Styl p. Sienkiewicza odpowiada wszystkim dotychczasowym jego potrzebom; zarówno w przedstawieniu prostaczych i rubasznych dźwięków, jak i malowaniu subtelnych odcieni ukształconego wysłowienia; zarówno w mowie starców jak młodzieży, temperamentów żywszych jak powolnych, widać prawdę wynikłą z pilnej obserwacji i umiejętnego wsłuchiwania się w różnice języka różnych usposobień. Styl ten obfituje w nowe całkiem oryginalne wyrażenia, ale jest obrazowy, ale jest posłusznem i giętkiem narzędziem do wypowiedzenia tego, co autor wypowiedzieć pragnie. Sytuacje i uczucia tragiczne, wybuchy gwałtowne nie były dotąd przedmiotem artystycznego obrobienia u autora; nie wiemy więc, o ile styl jego odpowie wymaganiom siły; to wszakże pewna, iż styl ten w malowaniu potocznych spraw życia, a szczególniej scen miękkich i tkliwych jest wyborny.

WIADOMOSCI Z KRAJU I ZE SWIATA.

Literatura.

*** Najnowszy utwor Kornela Ujejskiego, p. t. „Obrazki dramatyczne“ wyszedł z druku. Zawierają one dwa poematy: „Precz“ i „Smok swatem“. Obszerniejszą ocenę tych poematów, pisanych prześlicznym wierszem białym, tak rzadkim w naszej literaturze — podany później.

*** Gazeta Rolnicza, w N. 4. z r. b. zawiera: 1. Służebności, przez J. R. Wilanda. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał Dr. Juljusz Au. 3. Zjawiska psucia się i gnicia drzewa, napisał Dr. F. Kamieński. 4. Sprawozdanie ze zwiedzania niektórych majątków krajowych, przez Dr. Tadeusza Kowalskiego. 5. Jeszcze słowo w kwestji zaprawiania pszenicy do siewu siarczanem miedzi. 6. Listy z galerji Kijowskiej Samuela Zborowskiego. 7. Wiadomości bieżące. 8. Rozmaitości. 9. Poradnik gospodarski. 10. Kurjer rolniczy. 11. Feljeton zawiera artykuł p. t. Z moralnej strony stosunków wiejskich, napisany przez Juljana Łapickiego.

*** Dr. Kalina, młody badacz historyczny, czasowo bawiący w Petersburgu, opracował i rozebrał

krytycznie „Pieśń Bogarodzicy“ najstarszą pamiątkę polskiej literatury. Materjału do tej cennej i skrzętnej pracy dostarczyły autorowi starożytne rękopisy i dzieła, znajdujące się w Petersburskiej bibliotecę. „Rozbiór krytyczny pieśni Bogarodzica“ wyjdzie wkrótce już z druku staraniem i nakładem p. Spasowicza.

*** W Petersburgu wyszła praca p. Poznańskiego p. t. „Siły produkcyjne Królestwa polskiego“, opracowująca stan ekonomiczny Królestwa w latach 1874, 1875 i 1876.

*** Mamy pod ręką dwa pierwsze numera „Opiekuna domowych i pożytecznych zwierząt“, pisma tygodniowego ilustrowanego.

Znajdujemy tu historję zwierząt, opowiadania z ich życia, środki lecznicze, rzeczy bieżące, zagadki obrazkowe, ceny zboża na targach, ceny targowe bydła.

Napotykamy nawet wiersze (!) np „Do mojej klaczki Niezabudki“.

*** W Pradze czeskiej obudziło się teraz powszechne zajęcie literaturą naszą.

Czasopisma literackie otworzyły stałe rubryki dla notowania wszystkich objawów naszego życia umysłowego i artystycznego.

Teatr praski zamówił u kilku literatów przekłady naszych utworów dramatycznych.

Jeszcze w bieżącym sezonie mają być na tej scenie granemi: tragedja Słowackiego: „Horsztyńscy“; Kazimierza Zalewskiego: „Artykuł 246“ i „Spudłowali“, tudzież jedna komedja Bałuckiego.

Fr. Wł. Hovorka, znany tłumacz „Mazepy“, zajął się przełożeniem wspaniałej „Balladyny“ Słowackiego, której rolę odtworzy tam Marja Derynżanka w języku polskim, zaproszona przez dyrekcję praskiego teatru na występy gościnne w ciągu lata bieżącego.

*** Jan Turgeniew wraca w tych dniach do Rosji i zamierza w swych dobrach przepędzić całą zimę.

*** W najnowszym zeszycie „Revue des deux mondes“ ukazała się pierwsza część obszernej pracy Juljusza Klaczki „O Dancie i jego epoce“.

*** Dwutomowa powieść znanego powieściopisarza angielskiego Henryka Wooda, p. t „Anna Hereford“, została przełożona na język polski.

Nauka.

*** Przy petersburgskim uniwersytecie urządzonym został pawilon do spektralnych doświadczeń. Między innemi zaopatrzony on zostanie w aparaty dla projektowanego zbadania powierzchni księżyca. W tym celu znajduje się już tam pięciostopowy refraktor z mikroskopem Mertza, fotometryczny aparat podług systematu Celperowskiego.

*** Posiedzenie VI zjazdu lekarzy i przyrodników w Petersburgu, postanowiło następny zjazd odbyć w Odessie.

*** We czwartek odbyło się w paryskiej akademji umiejętności przyjęcie nowego członka Hipolita Taina. Taine odczytał studjum literackie o swym poprzedniku, Loménie. Mowę powitalną wygłosił chemik J. B. Dumas.

*** Panna T. Peturson córka biskupa w Reykiawik weszła tego lata w celu geologicznych poszukiwań na wulkaniczną górę Hekla. Wskutek jej spostrzeżeń temperatura u spodu większego krateru podwyższyła się znacznie w ostatnich czasach, a ze szpar znajdujących się na spodzie krateru występują białe kolumny dymu przepełnionego siarczanym zapachem. Z tych spostrzeżeń wyciągnąć można wniosek, że wkróte nastąpi nowy wybuch Hekli tembardziej, że oddawna już nie stosuje się ona do zwykłych perjodów spokojności. Ostatni wybuch Hekli miał miejsce w 1845 r. Dostrzeżono wtenczas krótko przed wybuchem, iż temperatura w kraterach znacznie się podniosła. Silne trzęsienie ziemi, jakie w końcu września dało się uczuć w południowej części kraju a idące w kierunku od Hekli, stało widocznie w związku z powyżej wzmiankowanemi zjawiskami. W Reykiawik dały się uczuć dwa silne uderzenia, które jednak nie spowodowały żadnej szkody. — Wezuwiusz przedstawiał w d. 9. z. m. niezwykły widok, wylewając z siebie ogniste masy law tak, że góra pokryta u stóp swoich śniegiem czarodziejskim, jaśniała blaskiem. W samym Neapolu d 9 i 10. z. m. tak silny padał śnieg, że tramwaje i omnibusy przestały kursować po ulicach.

Prasa perjodyczna.

*** Journal d'Odessa, jeden z najstarszych dzienników odeskich, przestał wychodzić od nowego roku z powodu braku abonentów.

*** Petersburgski „Ruskij Mir“ ogłasza zawieszenie swego wydawnictwa.

*** Petersburgska Gazeta „Słowo“ dostała trzecie ostrzeżenie i zawieszoną została na trzy miesiące.

*** Nowy dziennik „Allgemeine Wiener Zntg“, którego wydawcą jest dr. Herzka, zacznie w Wiedniu z dn. 15 lutego wychodzić. Niedawno odbyło się zgromadzenie spółki wydawniczej. Kapitał zakładowy wynosi 500,000 złr.

Teatr.

*** L. Howorka, znany pisarz czeski, tłumacz „Mazepy“ i Horsztyńskiego“ Słowackiego, napisał pięcioaktową komedję p. t.: „Ubodzy na duchu“ (Chudi duchem), która to komedja wkrótce będzie wystawiona w teatrze czeskim. Temat do niej wziął autor z życia bogatego mieszczaństwa pragskiego.

*** Najnowszy dramat Erckmana Chatriana „Alzacja“, jeżeli nie otrzyma prawa wystawienia na scenie paryskiej, przedstawiony zostanie w przeróbce angielskiej na scenie londyńskiej.

*** Gounod wystawił w Londynie nową swoją operę p. t. „Irena“.

*** W Wrocławiu w tych dniach przedstawiono po raz pierwszy „L'Assommoir“ Zoli, w przeróbce niemieckiej dra Friedricha, silnie łagodzącej oryginał autora; rzecz zrobiła „fiasco“.

*** La Roche, słynny artysta wiedeńskiego teatru nadwornego, obchodzić będzie w tym roku nadzwyczaj rzadki jubileusz 70-letniej rocznicy zawodu scenicznego.

Sztuki piękne.

*** Ze sprawozdania warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych dowiadujemy się, że Towarzystwo to w roku ubiegłym liczyło członków 5,444 i obracało kapitałem 37,664 złr. 76 centów. Towarzystwo rozlosowało pomiędzy swych członków 150 dzieł sztuki na ogólną sumę 11,592 złr. 50 cnt. W tym roku premium Towarzystwa stanowić będzie kopia z obrazu Kotsisa „Wycieczka w Tatry“. Wykonanie tej kopji powierzonem zostało zakładowi Slitza pod Honsburgiem.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Na ostatniem centralnem zebraniu warszawskiego towarzystwa dobroczynności, poruszoną została sprawa wielkiej wagi. Kilkunastu członków towarzystwa przedstawiło wniosek rozszerzenia zakresu wsparć i pożyczek, dotychczas w bardzo niedostatecznych rozmiarach udzielanych niezamożnym literatom, oraz ich wdowom i sierotom; wnioskodawcy zobowiązali się w tym celu zaofiarować towarzystwu stosowny fundusz, wyłącznie na owe wsparcia i pożyczki przeznaczony.

Wniosek ten jednomyślnie przyjęto.

Zawiadywaniem owym funduszem i ułożeniem stosownego regulaminu zajmie się rada opiekuńcza, którą stanowią pp. Bloch Jan, Jenike Ludwik, Leo Edward, Szymanowski Wacław, Kenig Józef, Zalewski Kazimierz, Sarnecki Zygmunt, Fryze Feliks i Pietkiewicz Antoni.

Przyjęcie tego postanowienia przez towarzystwo dobroczynności czyni zaszczyt jego członkom.

Rzecz to powszechnie znajoma i uznana przez wszystkich, iż stan literacki, w miarę zwłaszcza zdolności i wykształcenia jakich koniecznie wymaga, nietylko nie zapewnia dostatecznych wynagrodzeń materjalnych dla tych, którzy mu się poświęcają, ale w razie jakichbądź wypadków losowych, choroby i t. p. żadnego ubezpieczenia na przyszłość nie daje.

I to nietylko u nas.

Na powszechnym kongresie literackim słyszeliśmy Francuzów, Anglików, Niemców, Włochów i t. d. świadczących, że w ich krajach zaledwo drobna cząstka piszących potrafi z ciężkiej codziennej pracy zapewnić sobie dostateczne utrzymanie dla siebie i swych rodzin.

W tych krajach więc, daleko jeszcze lepiej od naszego uposażonych, istnieją towarzystwa wzajemnej pomocy literatów, kasy pożyczkowe, kasy wsparć, rozmaite wreszcie uposażenia publicznej zapomogi, które starają się zaradzić temu nienormalnemu położeniu ludzi oddających się szlachetnej pracy umysłowej.

Zrozumiało to dobrze towarzystwo dobroczynności i postanowieniem tem postarało się zapełnić brak, który dawno i dotkliwie dał nam się uczuwać.

A dla samego towarzystwa nie będzie to ciężarem, obowiązkowem bowiem zadaniem stanie się dla literatów członków towarzystwa, ażeby starali się zgromadzić odpowiednie na ten cel fundusze, tak stałe jak i czasowe.

Środków do tego przy dobrej woli nie zbraknie.

*** Ze sprawozdania z czynności towarzystwa biblioteki polskiej w Rumunii, za rok 1879, podajemy następujące szczegóły:

Dochody towarzystwa wynosiły w roku 1879 1412 franków 30 ct., rozchody zaś 1340 fr. 60 ct. Fundusz żelazny, który z końcem roku 1878 wynosił 3200 fr., wzrósł z końcem roku 1879 do 4260 fr. Biblioteka zawiera obecnie 1570 dzieł w 2315 tomach nie licząc w to duplikatów. Członków było w ciągu 1879 roku 117, a grono opiekunów biblioteki składa się z J. I. Kraszewskiego, Z. Miłkowskiego, A. Gillera K. Brzozowskiego, J. K. Żupańskiego, pułkownika T. Kopernickiego i A. Sowińskiego.

*** Z kopalni Jaworzno donoszą, iż woda wtargnęła do szybów. Woda dosięgła obecnie czterech sążni. Górnicy pracują tylko w jednym szybie niezależnym. Kopalnia dostarczała przed niedawnem 130 do 140 wagonów węgla dziennie, obecnie produkcja spadła na 8 do 12 wagonów.

*** Zakon Benedyktynów obchodzić będzie w tym roku 1400-letni jubileusz urodzenia założyciela swego zakonu, św. Benedykta z Nursji; uroczystość tego jubileuszu święconą będzie w dniach 4. 5. i 6. kwietnia we wszystkich klasztorach Benedyktynów.

*** Z dniem 1. stycznia 1881 roku zaprowadzoną zostanie w całem państwie serbskiem miara i waga metryczna.

*** Wystawa powszechna w Melbourne otwartą zostanie w dniu 1. października i obejmować będzie ogółem 65,000 kwadratowych stóp przestrzeni, z czego 40,000 stóp przypadnie na Amerykę i Europę.

*** Droga żelazna kandaharska ukończoną została w dniu 14. b. m. do Siki. Długość jej wynosi 133 mil (ang.), budowa zajęła 101 dni. Pracowało przy niej 5000 robotników i 2000 zwierząt pociągowych. Przedłużenie jej do Quettah ma być wkrótce uskutecznione.

*** Rząd darmsztadzki wystąpił z wnioskiem zbudowania na Renie stojącego mostu między Moguncją a Castel; koszta obliczono na 3,600,000 marek, które mają pyć pokryte przez pożyczkę.

*** W Moskwie projektują urządzenie w roku 1881 kongresu gospodarczego.

*** Liga antisemitów. Donoszą z Berlina, że życie w stolicy świata nacechowane jest dziwnemi wybrykami. Manja spirytyzmu nie znalazła tu wprawdzie żadnego punktu oparcia, ale za to straszy ciągle chrześcijańsko-socjalne widmo napadające na żydów, z których jedno znane jest pod nazwą ligi antisemitów. W tych dniach odbyło się zebranie tych nowych rycerzy oświaty. Nie zebrało się bynajmniej pospólstwo uliczne dla wysłuchania prelekcji p. Grouissiliers o poemacie Lessinga „Nathan der Weise“ i rozprawy o lidze antisemickiej; auditorjum złożone z 300 do 400 osób należało do tak zwanego wyborowego towarzystwa; zebrali się tu kupcy i lekarze, urzędnicy wszelkich kategorji, jako też przyjaciele Berolinensis Silesiacus, wydawcy wsławionego „Jüdischen Referendarius“.

Pan Groussilliers zagaił dwugodzinną swoją prelekcję wysławianiem „białej rasy“. Pan Groussilliers jest małym czerwonym człowiekiem, nie pochodzącym wcale z „białej rasy“; ale pomimo żydowskiej swojej powierzchowności i francuskiego nazwiska, rozwodził się mowca nad germańskim typem rasowym, zaliczając się sam do wybranych „dzieci Boga“, jak nazwał według biblii „białą rasę“. O Natanie mądrym Lessinga wspomniał prelegent bardzo pobieżnie, stając w obronie tolerancji Lessinga, przynajmniej w obronie tolerancji oświeconych umysłów zeszłego wieku. Mowca stawiał zresztą umiarkowane żądania. Według jego zdania naród żydowski nie posiada najprzód właściwej siły twórczej i dlatego dąży do takiego zajęcia, przy którem bez kłopotów dorabia się majątku, ażeby oprzeć na nim swoją egzystencję; powtóre nauki talmudu są niemoralne i przestępne; po trzecie „Alliance israelite“ jest stowarzyszeniem politycznem; po czwarte kahał w Rosji jest religijną bandą rozbójniczą. Prelekcja upstrzoną była mnóstwem zręcznie przytoczonych cytat z pism żydowskich. W końcu prelekcji zapowiedział mowca wydawnictwo nowego organu ligi anti-semickiej.

ROZMAITOŚCI.

*** Jak już o tem donosiliśmy w swoim czasie, rozpoczął się turniej szachowy pomiędzy Warszawą i Moskwą.

Grają się jednocześnie dwie partje, w jednej z nich pierwszy chód czyli zaczęcie otrzymała Warszawa, w drugiej Moskwa.

Oto dotychczasowy stan partji.

Podajemy go podług nomenklatury szachowej, przyjętej u nas, której za podstawę służyła nomenklatura niemiecka.

Partja I.

Warzzawa.	Moskwa.
E2 - E4	E7—E5 (1)
B1—C3	B8—C6 (2)
G1—F3	G8—F6 (3)
F1 - B5	F8—B4 (4)
C3—D5	(5)

Partja II.

Moskwa.	Warszawa.
1) E2—E4	E7--E5
2) G1—F3	B8 - C6
3) C2—C3	G8 - F6
4) D2--D4	E6 - E4

*** Hiszpański pospiech. Wiadomo że nigdzie może służba kolei żelaznych nie jest urządzona z taką niedbałością, jak w Hiszpanji.

Oto fakt, który pod tym względem służyć może za najlepszy przykład.

Pewnego dnia pociąg z Badajoz do Malagi, wiozący około sześciu podróżnych i dziesięć sztuk pakunku spóźnił się o cały dzień.

Zatelegrafowano.

Wprawdzie pociąg wyjechał z Badajoz „tylko trzy godziny“ po terminie oznaczonym, co w Hiszpanji jest bardzo nieznacznem spóźnieniem, ale od tego czasu nikt nie wiedział co się z nim stało.

Jakiś Anglik podróżujący ekstrapocztą twierdził wprawdzie że prześcignął pociąg pod Balmer; utrzymywał on, że wagony szły wówczas całą siłą pary i że nic niezwykłego nie dało mu się zauważyć.

Wyprawiono więc lokomotywę na wyszukanie pociągu i znaleziono go nareszcie; stał on na drodze, zahamowany, ale nie było w nim ani jednego pasażera i nikogo ze służby kolejowej.

Po kilkogodzinnem poszukiwaniu wynaleziono nareszcie maszynistę, nadkonduktora i zaginionych sześciu podróżnych.

Wszyscy oni tańczyli szalone fandango na jakiemś wiejskiem weselu w sąsiedztwie.

Brat stryjeczny maszynisty żenił się właśnie, a szanowny kolejowy oficjalista zaprosił wszystkich kolegów i pasażerów na wesele.

*** „Poszukiwanie małżeństwa. — Ciekawą wprawdzie byłoby rzeczą dowiedzieć się, kto pierwszy w Niemczech zaczął za pomocą ogłoszeń dziennikarskich poszukiwać związku małżeńskiego, która to droga stała się dziś bardzo pospolitą i rozpowszechnioną. Pewną tylko jest rzeczą, że ten sposób postępowania praktykował się już od dawna. Pierwszy zbyt jeszcze nieśmiały początek zrobiono już w ostanich dziewięćdziesięciu latach wieku zeszłego w gazetach hamburskich, gdzie osamotnieni mężczyźni zaczęli publicznie wynurzać swoje życzenia, jak chętnie pragnęliby pędzić życie obok kochającej żony. Po przełamaniu tych pierwszych trudności gazety austrjackie zaczęły dalej zajmować się tą nową gałęzią przemysłu ludzkiego. Dotąd pokrywane były milczeniem nazwiska wnioskodawców. Prawdziwy postęp w tym kierunku okazał dopiero w lipcu 1794 r. jeden z poszukujących małżeństwa w ogłoszeniu zamieszczonem w jednej z gazet wiedeńskich, w którem śmiało ogłosił swoje nazwisko. Oryginalne to ogłoszenie, w którem najprzód była mowa o środkach dla wygubienia pluskiew, o sprzedaży konia, o zaginionym psie i t d. kończyło się następującym dodatkiem:

„Poszukuje się żony. Owdowiały niedawno mężczyzna nazwiskiem Bruderhofer zdrowo myślący i zamożny, urodzony w Austrji, w wieku lat trzydziestu, z dwojgiem dorosłych dzieci, były piekarz, zamieszkały jako właściciel domu pod Auge Gottes, poszukuje przy tej okazji, ponieważ mało jest znajomym, odpowiedniej małżonki. Osoba, któraby w nieznany sposób powzięła ku niemu zaufanie, może się według upodobania zgłosić do niego czy to osobiście czy też listownie. Może ona pochodzić z Wiednia albo z kraju, być wdową albo panną tylko nie powinna być brzydką, ani za młodą ani też za starą, musi także złożyć przynajmniej połowę swojego posagu. Bliższą wiadomość można łatwiej zasiągnąć, niż się spodziewać można“ Ponieważ najśmielszy dziś konkurent nie śmie otwarcie wypowiedzieć swoich życzeń, w przeszłym wieku zatem dalej pod tym względem postąpiono. Ówczesne gazety nie ogłaszały jednak jeszcze poszukiwań małżeństwa ze strony kobiet. W późniejszych dopiero latach pozbyto się i tych skrupułów i dziś wszystkie prawie gazety niemieckie zapełnione są codziennie anonsami płci obojga, pragnącej włożyć na siebie słodkie jarzmo małżeństwa. U nas upłynie jeszcze zapewnie wiele wody, zanim podobne ogłoszenia uzyskają prawo obywatelstwa, chociaż nie brak u nas pośredników doprowadzających do skutku małżeństwa z najnieszczęśliwszemi często następstwami i zawodami stron obu.

Z KRÓLESTWA WONI.

Do rzędu najgodniejszych uwagi, a w każdym razie trudnych i do pewnego stopnia okrytych tajemnicą sztuk, należy umiejętność wydobywania i przygotowywania różnorodnych subtelnych perfumeryjnych zapachów.

Zależy tu wiele od znajomości odpowiednich pierwiastków perfumeryjnych, więcej od ich umiejętnej kombinacji.

Perfumerja czerpie wiele ze swych pierwiastków ze świata mineralnego, królestwo jednak roślinne głównie je zasila...

Rośliny, te żywe rezerwoary zapachu, ścięte nielitościwą ręką człowieka, nie przestają wydzielać najpiękniejszych woni; przeciwnie potęgują je i skoncentrowawszy, odurzają prawie zmysł powonienia...

Królestwo woni panuje wszędzie, bo nawet pod mdłemi promieniami północnego słońca spostrzegamy rośliny, rzadkie zresztą, upajające zapachem, tron jednak owego królestwa jest w podzwrotnikowych sferach.

Tu miljony roślin nasyca najwonniejszem tchnieniem atmosferę, ztąd świat cały otrzymuje najwonniejsze ekstrakty gwoździków, paczuli, wanilli, drzewa sandałowego, myrrhy i wielu innych.

Południowe okolicy Europy pełne są też roślin, dostarczających najwonniejszych aromatów; tu widzimy: pomarańcze, cytryny, róże, gieranie, jaśmin, heliotrop, rozmaryn, fiołki, gwoździki, kasją, lewandę, miętę, itd.

Okolice morza Śródziemnego obfitują w te rośliny; a piękna Italja, półwysep Bałkański i Francja główny prowadzą z niemi handel.

Ostatnia do konkurencji z niemi stanęła północna Afryka, a mianowicie Algier, gdzie przedsiębrano energiczne starania w celu polepszenia kultury roślin perfumeryjnych.

Obecnie centrami handlu i hodowli roślin pachnących są miasta: Montpellier, Cannes, Nimes, Grasse Nizza i Mentone.

Produkcja ich jest bardzo znaczna.

Same Cannes i Nizza dostarczają rocznie d 210,000 kilometrów kwiatu pomarańczowego, do 12,000 kil. fiołków, 50,000 kil. kwiatu akacjowego itd.; fabryki perfum w pierwszem z tych miast zużytkowują rocznie 70,000 kilogr. kwiatu pomarańczowego, 16,000 kilgr. jaśminu, 10,000 k. fiołków, 8,000 k. tuberosy, prócz tego w mniejszych ilościach następujące kwiaty: hyacynty, narcyzy, rezedy, lewkonje, kwiat cytrynowy, tymian, anyż, paczulę itd.

Pierwsze miejsce pomiędzy wszystkiemi roślinami perfumeryjnemi zajmuje bez zaprzeczenia — róża.

Ta królowa kwiatów, jak ją poeci nazywają, olbrzymiemi masami rośnie w Turcji europejskiej, w Anatolji, Persji i Indjch i służy do wyciskania cennego olejku różanego.

Kazanłyk — dolina róż — w porze kwitnienia róży przedstawiający jeden wspaniały ogród, jest w Rumelji punktem centralnym hodowli kwiatu.

Prowancja uprawia także mnóstwo róż, w trzech gatunkach: róże jednak prowanckie różnią się cokolwiek od wschodnich ułożeniem korony i innemi szczegółami.

Najwyższe ze wszystkich róż zalety posiadają ciemnopurpurowe.

Przy odpowiednim kierunku wiatru zapach plantacji róż rozchodzi się na 10 kilometrów.

Hodowla róż wymaga uprawy roli podobnie jak pod wino, potrzeba więc odpowiedniego spulchnienia i namierzwienia gruntu; na jednym hektarze pomieścić się może od 15.000 do 30.000 krzaków różannych.

Zbieranie róż w Prowancji rozpoczyna się zazwyczaj w miesiącu maju, a pracą tą zajmują się kobiety.

Plantacja róż w pierwszych dwóch latach daje plon nie wielki, a w trzecim dopiero roku normalny, dochodzący do 6.000 klgr. kwiatów z hektaru; tak wydajną jest ona w ciągu lat dwunastu do piętnastóu, poczem na nowo trzeba sadzić róże.

Grunt uprawiony już pod róże ceniony jest dość wysoko, a mianowicie po 10.000 fr. za hektar, choć procent od tego kapitału jest bardzo znaczny, w trzecim już bowiem roku zysk ze sprzedaży kwiatów wynosi zazwyczaj 2.400 fr. od hektara, co stanowi 24% od kapitału.

Trzeba dodać, że tak wysoki procent zapewniony bywa na lat 12...

Zbyt róż w Prowancji jest bardzo łatwy, zużytkowują je bowiem liczne miejscowe fabryki perfum przerabiające olejek i wodę różaną...

Najlepsze gatunki esencji różanej są niezmiernie poszukiwane; płacą za nie po 1,800 do 2.000 za kilogram.

Dodać trzeba, że np. departament Alp morskich przerabia rocznie na essencje różane do 500.000 klg.

Róże znajdują też i inne jeszcze zastosowania; między innemi na Wschodzie używane są na pokarm róże obsmażane w cukrze.

W Niemczech, a właściwie w Alzacji, istnieje także hodowla róż na większą skalę.

Pod Steinfurtem znajduje się największa tego rodzaju plantacja na 12 hektarach posiadająca do paruset tysięcy krzaków róż.

Róże ztąd są rozwożone na sprzedaż do większych miast między innemi jednak liście «królowej kwiatów» służą do zaprawiania... tabaki.

Okoliczne fabryki tabaczne zużytkowują w tym celu kilkanaście tysięcy klg. kwiatu różanego rocznie.

Treść Nr. 5.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.